

# Kamena

LUBLIN BIAŁYSTOK KIELCE RZESZÓW

LUBLIN 17.III.1968 Nr 6 (387) R. XXXV

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

Wychodzi od 1933 r.

## Sport w telewizji

Bohdan Tomaszewski

O D dłuższego czasu zachęcają mnie z najrozmaitszych stron, abym zabrał głos na temat sportu w telewizji. Jeszcze nie czuję się na siłach, aby podjąć ten temat w formie wszechstronnej. Pisząc w tym miejscu jednak o sporcie piłkarskim nie można pominąć ogromnej roli XI Muzy, jaką odgrywa w pogłębianiu wiedzy i o tym sporcie. Na pewno mistrzostwa świata w 1966 r. były niezwykłą lekcją piłki nożnej dla milionów. Zetknęliśmy się przy tym z niezwykłym zjawiskiem. Choć w turnieju nie startowali Polacy wzbudził on fantastyczne zainteresowanie. Na ekranie nie było Kirszstein, był Pele. Nie pojawił się Szmidi, zastępował go Eusebio i Charlton. Tym razem nie szukaliśmy zaspokojenia własnych, najgorętszych życzeń, nikt nie szukał, gdyż nie mógł znaleźć zaspokojenia narodowej ambicji. A mimo to byliśmy ogromnie zaangażowani. Czyżby w sporcie już nie tak zupełnie nieodczuwalna była świadomość, że „nasi grają”? Mogą grać i nie nasi, a emocja może być równie wielka.

A teraz ogólnie o meczach w telewizji.

Lepiej widać na ekranie niż kiedy siedzi się na trybunach — mówią niektórzy ludzie. Lepiej, ale czy pełniej? Oczywiście telewizja jest cudownym wynalazkiem w przybliżaniu każdego widokiska, nie trzeba chyba raz jeszcze podkreślać jej roli w popularyzowaniu sportu. Przy czym właśnie w sporcie jej zadanie szczególnie rośnie, gdyż sport to teatr naprawdę ogromny... Sto tysięcy miejsc na widowni, lecz o ile więcej w domach prywatnych, w świetlicach, w oknach sklepów, gdzie każdy może także popatrzeć na mecz!

Graczy od widzów na trybunie dzieła dziesiątki, a nawet setki metrów. A my chcemy śledzić czasem nie tylko akcję, ale i widzieć dokładnie twarze. Z twarzy zawodników niekiedy można wyczytać to, co dopiero nastąpi. Zmęczenie albo rezygnacja zapowiadają nieuchronnie porażkę. Zaciętość i skupienie wróżą zwycięstwo. A poza tym ciekawi nas, jak oni wyglądają w walce. Lecz lornetka skacze na nosie, kiedy gonimy wzrokiem piłkę podbijaną raz po raz czubkiem innego buta. Odkładamy wtedy lornetkę zniecierpliwieni.

Telewizja daje nam ogromne powiększenie piłki. Ten, kto siedzi w domu i ogląda lekką atletykę, zobaczy więcej w ostatnim momencie poprzedzającym start sprinterów, niż gdyby siedział na trybunie. Ten, co siedzi w domu i obserwuje boks, czasem tuż przed rozstrzygnięciem ciosom przeczuje nieuchronny koniec słabnącego pięściarza. Na ekranie maluje się bowiem jego twarz: mętne oczy, usta z trudem łapiące powietrze. — Jak go teraz trafi, to koniec!...

I właśnie zaraz następuje ten cios. Z piłką nożną jest trochę inaczej. Owe „lepsze widzenie” jest trochę problematyczne. Widz na trybunach wędruje wzrokiem za piłką, ale jednocześnie obejmuje całą panoramę boiska. Nikt nie patrzy wycinkowo. Oddalenie piłki od bramki przeciwniej jest przecież rzeczą istotną. Podobnie jak szły w jakimś obie formule rozgrywania spotkanie. „Cudowny przybliżacz” — czyli zestaw kamer spozierających na arenę gry pokazuje niby dokładnie, ale jednocześnie właśnie przez swe natręctwo bardziej wycinkowo. Oto jakiś fragment boiska i grupa graczy

(Dokończenie na str. 9)

## PANIENKI jakby staroświeckie

Maciej Podgórski

Przecież nie będę chodził po klasach i prosił, żeby czytali Brez czy Faulknera! (Z powieści dla młodzieży licealnej, Warszawa 1967)

ECH, wy, lata moje „górne i durne”! Dawno to było i... prawda. W konkursowej ogólnonarodowego „rozdrapywania ran” nastąpił akurat zmierzch zetempowskich wzorców; zjawiał się inny młodzieżowy styl. Włos — u chłopców i dziewcząt — raczej krótki, spodzień wąski. Rock-and-roll; szal jazzu. Lektura „czarnych” polskich opowiadań, Grochowiaka „czarnych wierszy”; „zachodnich” tłumaczeń (Hemingway, Sartre...), „Egzystencjalistyczne” — a jakże! — ciągoty. Ech, panie, iza się w oku!...

Inni oceniają chleb, który z mąki owej wyrósł. Ukończyło się w każdym razie tę humanistykę (na przykład). A dziś włos poczyna już trochę linieć ówczesnym chłopcom. I coraz bliżej definitywnego „wapiactwa”. Szczęście w ogóle, że się jeszcze nie zeszło na słuchanie „Matusiaków”.

Teraz przyszłość należy do wlosiów długich, portek szerokich. Muzyka big-beatowa, a czytają... Właśnie — co z literatury w społecznej czyta młodzież dzisiejsza u

pru dojrzałości i jak to odbiera? Wycinkowe rozeznanie miały mi dać prace pisemne z egzaminu na I rok polonistyki (1967/68) w UMCS — gdyż będąc człowiekiem łagodnego serca, szukałem tam, gdzie efekty powinny okazać się najbardziej obiecujące.

Człowiek (łagodnego serca) strzela, a Marks kule nosi. Chciałem zbadać wstępnie tylko recepcję literatury współczesnej (pośród młodzieży), o zobaczyłem nadto wiele innych kwestii z recepcją ściśle związanych, kwestii nie do omińnięcia. Literaturę współczesną przyszło natomiast „ograniczyć” głównie do prozy rodzimej (1947—66). Z kolei reprezentatywność pojęcia „młodzież” osłabił trochę fakt, że autorami ogromnej większości prac były dziewczęta (rocznik 49, 48 — maturzystki 1967), bo, jak od dawna wiadomo, „statystyczny” słuchacz polonistyki to kobieta.

Zdawało egzamin pisemny 160 kandydatów, mogli wybierać między trzema problemami: *Wartości literatury polskiego Oświecenia* (podyję 64 osoby — 40 proc.), *Lud polski w twórczości Reymonta* (55 osób — 34,4 proc.), *Moja ulubiona powieść współczesna* (41 — 25,6 proc.).

Dosyć różnorodnie, wbrew pozorom, są zwykle motywy, które okre-

(Dokończenie na str. 4)

PROWINCJONALIZMIE XX wieku pisano wiele: polega on na poczuciu braku perspektywy i wiary, że przyjdą po nim wieki następne.

Jednym z jego charakterystycznych objawów jest holdowanie różnym modom, bez względu na to, jakiej dziedziny dotyczą oraz poczucie nieprawości wobec świata, który zatracił jedność, uległ rozbiiciu na małe fragmenty. Moda nie musi oznaczać sobą zjawiska ujemnego; żyjemy w czasach wąskich specjalizacji i standardów, pełni kompleksów wobec siebie — humanista wobec technika, technik wobec humanisty. Wspólnym marzeniem jest integracja wiedzy o świecie, która pozwoliłaby nam oglądać go szerzej, nie tylko wycinkowo. Marzenie to dotyczy również humanistyki, ściślej — literatury, która wciąż wykazuje bezradność wobec skomplikowanych problemów współczesności i proponuje nam albo obraz świata bezsensownego, absurdalnego, albo niewielkie fragmenty naturalistycznego opisu, w najlepszym razie — postawę heroicznego humanizmu. Do tego dochodzą poszukiwania warsztatowe literatury, która analizując samą siebie tym samym chce sprawdzić swoje możliwości, co prowadzi często do swoistego akademizmu.

Owa niepewność dotyczy także nauki o literaturze, która w naszym stuleciu zwątpiła w skuteczność narzędzi tradycyjnie do niej należących i szuka nowych, przejmując je z lingwistyki, filozofii, socjologii i innych dziedzin, nie mówiąc już o przypadkach tak skrajnych, jak budowanie teorii humanistycznych w oparciu o matematyczną teorię wielość. W latach ostatnich literaturoznawstwo zainteresowało się antropologią kulturalną i przedmiotem jej badań — mitem. Wystarczy przejrzeć ostatnie numery prasy kulturalnej i literackiej, by to zauważyć i — nawet przy pobieżnym

czytaniu stwierdzić, że pojęcie mit jest używane w wielu sensach. Różnorodność znaczeń, w których ono występuje w krytyce literackiej i esicyście, zmusza do zastanowienia, co też sobą oznacza.

Mit jest tworem kultury podobnie jak język, poznanie naukowe, sztuka i religia. Od dawna, bo już od antyku, był wyszukiwany w wielu utworach literackich oraz dziełach sztuki (malarstwo, rzeźba) i służył w nich celom wyznaczonym przez

jęczonego, niesprawdzalnego, co nie może istnieć w rzeczywistości. Znaczenie to zostało przyjęte przez kulturę europejską, a jego relikty możemy spotkać do dziś w świadomości potocznej. Filozofia antyczna tak długo poddawała mi gruntownej analizie racjonalnej, aż zdegradowała go do roli opowieści, fabuły, legendy czy motywu.

Naukowe zainteresowanie mitem daje się zauważyć już w Oświeceniu, ale podstawy badań nowoczesnych przyniósł dopiero wiek XIX. Początkowo zajmowali się nim religioznawcy, traktując go jako wczes-

## Moda na mity

Urszula Kowalska

twórców. Nie miał, ani w literaturze, ani w sztuce takich funkcji, jakie mogłyby mu przysługiwać ze względu na doniosłe znaczenie społeczne. Był przeważnie jednym z elementów podporządkowanych czy to idei utworu, czy jego kompozycji. Często występował jako ornament literacki, popis erudycji i sposób obrazowania nakazany przez obowiązującą poetykę (np. w Odrodzeniu). Nie sposób wliczyć pisarzy europejskich, którzy w swojej twórczości sięgali po mit, szczególnie mitologię antyczną, co jest zrozumiałe ze względu na ciągłość naszej kultury.

W czasach obecnych mit stał się również sposobem naukowej czy krytycznej interpretacji literatury, sztuki oraz niektórych zjawisk społecznych i politycznych. Wobec nieporozumień, jakie termin ten wywołuje przez swoją wieloznaczność, należy się pokusić o próbę najogólniejszego opisu — ważniejszego sformułowań teoretycznych.

Mit (z. *Mythos*) jest pojęciem bardzo starym; pojawiło się ono w starożytności (Xenofanes, Platon, racjonalist i inni) i było przeciwstawiane pojęciu logos. Służyło do określenia czegoś ba-

ny przejaw religii, później stał się przedmiotem badania anglosaskiej szkoły antropologicznej, gdzie omawiali go m. in. J. G. Frazer, autor słynnej „Złotej galezi” oraz nasz rodak, B. Malinowski. Antropologów interesował mit dzikich, a nie mit kultury, ale pewne cechy tego zjawiska okazały się właściwe dla każdej postaci mitu. Mit angażuje sobą całe społeczeństwo, a przynajmniej duże ugrupowania ludzkie, wiąże się z magią i rytuałem, jest historią świętą i wzorcową wskazującą wierzącym węd ludziom jak należy postępować. Dyktuje im kodeks etyczny, narzuca rytuały i, czasami, określoną estetykę. Tworzywem mitu jest słowo: przy jego pomocy opowiada się jak powstał świat (mity kosmogoniczne), człowiek, pewne instytucje i obrzędy, prawa i zakazy, opowiada o bohaterach dziejach przodków, którzy ze względu na swoje zasługi wobec społeczeństwa awansowali do roli półbógów, herosów. Słowo „mit” nie występuje w funkcji semantycznej

— jego funkcja jest magiczna, bowiem mit nie chce jedynie opowiadać. Słowo ma przywoływać czas święty, który można przywrócić przez wypowiedzenie formuły, ma zlikwidować historyczny przedział między rzeczywistością mityczną i teraźniejszością i umieszcza wierzących w świętym czasie „początku”. O magicznej funkcji słowa „mit” w czasach niemal nam współczesnych pisał wybitny filozof niemiecki, neokantysta, E. Cassirer, który, jak wielu innych uczonych, musiał emigrować z Niemiec hitlerowskich. Rozpatrywał on hitlerizm w kategoriach współczesnego mitu politycznego, pokazywał, iż mit ten również miał swoje rytuały sprowadzające się do aktów czci wobec führera, dostojników, nawet emblematów. Nieartykułowane ryki Hitlera powodowały ataki histerii u słuchających tłumów, a przecież zbiorowa psychoza jest charakterystyczna dla wielu rytuałów. Cassirer pisał, że nie rozumie języka niemieckiego hitlerowskiej prasy, że słowa nie znaczą tych rzeczy i pojęć, które znalazł przecież od wczesnego dzieciństwa.

Nie tylko religioznawstwo i antropologia zajmowały się problematyką mitu; również filozofia, dla której religia stanowiła i stanowi ulubioną dziedzinę spekulacji, omawiała mit w różnych perspektywach i interpretacjach. Jest rzeczą oczywistą, że każda wypowiedź nosi piętno wyznawanego przez autora światopoglądu. Mit należy do zjawisk sakralnych, ale do dziś istnieje niezgodnie w sposobie rozumienia religii i trudno znaleźć kryteria, które porządkowałyby istniejące poglądy.

L. Kołakowski we wstępie do „Traktatu o historii religii” M. Eliadego zaproponował wyodrębnienie dwu zasadniczych pozycji badawczych wobec religii: interpretacja funkcjonalna, widząca religię w perspektywie historycznej jako wytwór ludzki, często mający charakter kompensacyjny, gdyż obiecuje człowiekowi szczęście po śmierci, którego nie może on uzyskać za życia, oraz nadanie religii „idiogene-

(Dokończenie na str. 4)



Stanisław Szulc, rzeźbiarz ludowy — „Przodka” Fot. Jan Urbanowicz

Zmarli

W Rzymie zmarł w wieku 87 lat kompozytor i ideolog Pizzetti. Ostatnio był dyrektorem konserwatorium w Mediolanie. Skomponował 12 oper. W Włoszech uważano go za jednego z najwybitniejszych kompozytorów współczesnych.

W Nowym Jorku w wieku 78 lat zmarła znana powieściopisarka, Fannie Hurst. Największy rozgłos uzyskała jej powieść „Dag Street”, wiele innych sekularyzowanych.

W wieku 86 lat zmarł w Paryżu Jaime Sabartes, największy z przyjaciół Picassa, jego sekretarz i biograf. Sabartes początkowo rzeźbił, potem pisał wiersze i powieści, od 30 lat związał się serdecznie z Picassem. To on ze swoich zbiorów nabywał Barcelonie 40 litografił znakomitego malarza, najbogatszy tego rodzaju zbiór na świecie.

Literatura

Stanisław Brodzkiwicz kończy powieść „Słupy graniczne”, której akcja toczy się w czasie III Powstania Śląskiego. Ma też na warsztacie literacką monografię Ziemi Częstochowskiej. Obie te pozycje ukazały się nakładem Wydawnictwa „Siąsk”. Poza tym w Teatrze Zagłębia w Sosnowcu odbywają się obecnie próby scenicznej adaptacji jego książki „Taniec kogutów” w reżyserii A. Stocńskiego.

Jan Brzoza pisze powieść „Saga proletariacka”. Jest to historia trzech pokoleń Polaków — od chłopów pańszczyźnianych poprzez robotników fabrycznych aż do klasowo uświadomionych przedstawicieli współczesnej klasy robotniczej.

Jan Pierzchała kończy powieść pod roboczym tytułem „Daniela, Daniela!” — o ostatnim półwieczu naszego kraju i jego burzliwych dziejach. Następnie rozpoczyna pracę nad biografiami Witolda Wyspiańskiego, bratanka Stanisława.

W Trójmieście rozpoczęły się przygotowania do polsko-skandynawskich spotkań literackich „Gdańsk 1968”, które odbędą się w dniach 15-17 maja. Impreza ta obejmuje spotkanie pisarzy, krytyków, tłumaczy i wydawców z Danii, Finlandii, Norwegii, Szwecji i Polski. Organizatorami „spotkań” są Związek Literatów Polskich i gdańskie Towarzystwo Przyjaciół Sztuki. Program przewiduje dyskusje nad drogami zbliżenia kultur polskiej i skandynawskiej, ocenę dorobku naszej literatury w ostatnich latach oraz charakterystykę i oddziaływanie literatury skandynawskiej w Polsce.

Miesięcznik radziecki „Znamia” opublikował w numerze lutymowym opowiadanie Jerzego Zawieyskiego „Odwiedźnię prezydenta”. Autorka przekładu na język rosyjski jest L. Wojtyłowska.

Teatr

Z zainteresowaniem oczekiwane są premiery nowych sztuk Sławomira Mrożka „Poczwórka” i „Testarium”, które włączył do swych planów Teatr

Współczesny w Warszawie. „Poczwórka” wystawi również Teatr Wybrzeże w Gdańsku. Nowy utwór Janusza Krasińskiego „Wkrótce nadejdzie bracia” znajdzie się na scenach teatrów w Bydgoszczy i Koszalinie. Nagrodzona na konkursie w Krakowie sztuka Zbigniewa Szafiana „Osiedliny” przygotowują teatry we Wrocławiu i w Toruniu. Prapremiera „Tantala” Witolda Wirpszy odbędzie się w Teatrze im. Solskiego w Tarnowie. W wykonaniu Teatru Powszechnego w Łodzi zobaczymy oparty na wspomnieniach i dokumentach montaż pt. „Herzacy” w opracowaniu Karola Obidniaka. Teatr Dramatyczny w Warszawie wystąpi z prapremierą komedii Janiny Olczak „Ja — Napoleon”. „Rozwód” Jerzego Stawińskiego wystawi teatr w Jeleniej Górze.

W warszawskim Teatrze Polskim odbyła się prapremiera sztuki Macieja Zenona Bordowicza „Akty” w reżyserii Augusta Kowalczyka.

W Berlinie odbyło się sześciogodnie międzynarodowe sympozjum poświęcone Brechtowi. W tym „dialogu brechtowskim”, jak nazwano sympozjum, wzięło udział 138 osób z 28 krajów: pisarze, reżyserzy, aktorzy, scenografowie, wydawcy, tłumacze, krytycy teatralni i literaccy. Debatę otworzył obszernym przemówieniem wicepremier NRD dr Aleksander Abusch. W centrum dyskusji znalazły się dwa tematy: znaczenie i rola Brechta w współczesnym teatrze w świecie oraz jego wpływ na rozwój postępowej dramaturgii.

Muzyka

Wydarzeniem w warszawskim życiu muzycznym był koncert kompozytorski Witolda Lutosławskiego w Filharmonii Narodowej. Na podium dyryżerskim stanął rzadko występujący na estradzie sam kompozytor. Koncertem tym dyrektorka FN inaugurowała cykl podobnych imprez poświęconych innym naszym czołowym twórcom. Lutosławski pisze obecnie utwór orkiestrowy, którego prawykonywanie nastąpi w listopadzie. W końcu bm. wyjedźdża do Wielkiej Brytanii, gdzie wygłosi odczyty na uniwersytecie oxfordzkim oraz w Londynie.

W auli Politechniki Wrocławskiej odbył się w dniach 8-10 marca V Studencki Festiwal Jazzowy pod nazwą „Jazz nad Odrą” z udziałem ponad 30 zespołów i solistów.

Na inaugurację sezonu w dniu 15 czerwca Opera Lesna w Sopocie otrzymała nowy dach z wertywalną szklenią, a także bar i kawiarnię.

Koncertem w Rotterdamie rozpoczął swoje tournée po kilku krajach europejskich znany kwartet jazzowy Zbigniewa Namysłowskiego. Z Holandii zespół uda się do Szwajcarii i NRD, występując w obu tych krajach wraz z grupą wokálną „Novi”.

Tygodnik paryski „L'Express” zamieścił obszerną informację poświęconą wielkim sukcesom Krzysztofa Pendereckiego, jak również popularności jego utworów we Francji. Do końca 1967 r. „Passa” — najbardziej znane dzieło kompozytora polskiego — wykonywana już była 40 razy na estradach koncertowych całego świata.

Moskiewski Teatr Opery i Baletu or. Opera Paryska złożyła sobie wizytę. Opera radziecka zjedzie nad Sekwanę na jesieni, Opera Paryska przyjedzie do Moskwy nieco później.

Sztuka

Polski artysta-malarz, Stefan Gierowski, otrzymał wyróżnienie za zestaw obrazów eksponowanych na I Triennale Sztuki Światowej w Delhi. W międzynarodowym jury zasiadał komisarz działu polskiego wystawy, dr Andrzej Jakimowicz. Główną nagrodę Triennale otrzymał japoński rzeźbiarz Kantaro Kimura.

Malarzy radzieckich ze Studia im. Grekowa rozpoczęło pracę nad wielką panoramą, upamiętniającą bitwę nad Wolgą. Panorama, która zostanie umieszczona w Muzeum Obrony Wolgogradu, będzie miała 120 m długości i 16 m wysokości.

Koło wsi Osowiec w okręgu witebskim prowadzone są badania osady pochodzącej z pierwszego połowy drugiego tysiąclecia p.n.e. Znalezione tu liczne figurki wyrzeźbione z drzewa i kości, m. in. drewniana, odznaczająca się dużym realizmem podobizną człowieka o wyrazistych, surowych rysach twarzy. Na tym samym stanowisku odkryto także inne rzeźby z kości: losia, czapli oraz innych nie zidentyfikowanych ptaków. Przewidywa się, że twórcą tych przedmiotów był przed 3,5 tys. lat ten sam utalentowany rzeźbiarz.

Różne

Na scenie kameralnej Teatru Wielkiego w Warszawie H. Szendzińska wykonała Poloneza, którego kompozytorem jest podobno Tadeusz Kościuszko. Znosi się na wielki spór wśród historyków muzyki.

Włoski fabrykant akordeonów Fratelli Crosio zbudował instrument, który posiada aż 632 przyciski (normalnie najwyżej 170). Właściwym projektodawcą jest wirtoz gty na akordeonie i Almbale. Instrument waży 150 kg, ma długość 150 cm, mogą na nim grać równocześnie dwie, a nawet trzy osoby.

Rada miejska Grenoble zdobyła się na nie lada odwagę. Odmówiła zapłacenia rachunku za rzeźbę, sprowadzoną przez burmistrza z okazji igrzysk zimowych. Rada uznała rzeźbę za dziwadło i nakazała jej zdjęcie z postumentu, zapowiadając zarazem kasie miejskiej 206 tysięcy franków.

Film

V Międzynarodowy Festiwal Filmów Krótkometrażowych odbędzie się w Krakowie w dniach 4-9 czerwca.

Producent włoski Dino de Laurentis zapropozował Szwajczerowi Bondarczukowi reżyserie filmu „Waterloo”, w którym mają grać m. in. Richard Hurton i Peter O'Tole.

Reżyser radziecki Włodzimierz Czebotariew przystępuje do realizacji filmu „Sprawa Borysa Sawinkowa”, poświęconego głosnej operacji radzieckiego kontrwywiadu w latach dwudziestych, przeprowadzonej pod kierownictwem F. Dzierżyńskiego.

Brigitte Bardot podobno zgodziła się na granie głównej roli w „Don Juanie”. Jest to nowa wersja, w której bohaterem jest kobieta — na końcu spotyka ona swój nęski odpowiednik, z czego wynika wiele nieporozumień.

Włoski reżyser Andrea Andermann zrealizuje film poświęcony słynnej tancerce angielskiej Margot Fonteyn. Producentami będą... Beatlesi.

JAN ZIEMSKI, autor reliefowej „Kompozycji I”, urodził się w Kielcach w 1922 r. Ukończył Wojską Szkołę Malarstwa i Rysunku w Lublinie, studiował historię sztuki na KUL. W latach 1956-59 był jednym z najaktywniejszych członków grupy „Zamek”, działającej w Lublinie, z którą wystawiał m. in. w warszawskiej galerii „Krzywego Koła” (1957, 1958), w Pałacu Sztuki w Krakowie 1958 i w Białymostku 1957. W 1959 r. wraz z W. Bolewskim i T. Dzeduszyckim miał wystawę w paryskich galeriach „Ranelagh de cinema” i Goerg Fall. Ponadto uczestniczył w takich ważnych imprezach artystycznych jak III Ogólnopolska Wystawa Sztuki Nowoczesnej w Warszawie i Lublinie 1959, XII Festiwal Sztuki w Sopocie 1959, Festiwal Polskiego Malarstwa Współczesnego w Szczecinie, „Konfrontacje 67” w Warszawie, Biennale Form Prześniennych w Elblągu 1965, „Złote Grono” w Zielonej Górze 1965, warszawska Wystawa Różnych Form Wyrazu 1965, i Sympozjum Artystów Plastyków i Naukowców w Puławach 1966. Ostatnio uczestniczył w wystawie zbiorowej polskiego malarstwa współczesnego w Sztokholmie. Indywidualne wystawy malarstwa i tkanin w Lublinie (klub „Zamek” 1959) i malarstwa — 1961. Regularnie uczestniczy w wystawach okręgowych. Nagrody m. in. na I Sympozjum w Puławach 1966, na wystawie „Przeciw wojnie”. Prace w zbiorach MKiS, Wydziału Kultury PWRN, w Elblągu, u osób prywatnych.

(W jednym z najbliższych numerów zamieścimy esej o twórczości Jana Ziemskiego).



Notes „Kamery”

Bomby i oklaski

MINEŁO już osiem miesięcy od krwawych dni izraelskiej agresji. Tel Awiw najwyraźniej kpi sobie z uchwał Rady Bezpieczeństwa. Premier Levi Eszkol mówił niedawno o rzece Jordan jako o naturalnej granicy Izraela. W innym wystąpieniu ów polityk zapowiedział dalszą rozbudowę politycznej swego kraju, której głównym zadaniem ma być patrolowanie wybrzeży Półwyspu Synajskiego.

Jednocześnie nie ustają prowokacje skierowane głównie przeciwko Jordanii. Izraelskie „Jastrzębie” chcą dokonać wyłomu wśród państw arabskich.

W lutym opinia publiczna całego świata została wstrząśnięta atakiem na jordańskie osiedle. Osiem godzin trwał barbarzyński nalot izraelskiego lotnictwa. Przerażeni ludzie uciekali na oślep, matki tuliły do piersi ranne i martwe dzieci. To było piekło — stwierdzają korespondenci zachodni. Zarazem odnotowują, że po stronie izraelskiej nikt nie spał. Ludzie wylegli na ulice, zajęli punkty obserwacyjne na dachach, na drzewach. Spoglądali na wybuchy bomb, blaski eksplozji nagradzali... oklaskami!

Trudno uwierzyć w te doniesienia. Ale korespondenci amerykańskich agencji, którzy raczej sprzyjają izraelskim poczynaniom, w tym wypadku nie mogą przesadzać. Z dziennikarskiego obowiązku odnotowują ów fakt, który musi budzić przerażenie. Do czego doszło nad Jordanem? Do jakiego stopnia można spodziewać, aby oklaskiwacze czyjaś śmierć, śmierć kobiet, dzieci, które przedtem skazano na wygnanie?

I skazuje się nadal. Korespondent brytyjskiego „Guardian” informuje, że codziennie przez most Allenby nad Jordanem przechodzi 100-200 uchodźców arabskich. Jest to „nieodwracalna fala”, ponieważ Izraelczycy żądają, aby każdy opuszczający okupowane tereny podpisał deklarację, że nigdy nie wróci na ziemię swych przodków.

Dlaczego ci ludzie odchodzą, skoro pozostanie jest dla nich tak żywotną sprawą i co powstrzymuje rząd jordański od prób zatamowania tego upływu krwi przez zamknięcie granicy przed uchodźcami? — zapytuje brytyjski dziennikarz i sam odpowiada. Jeśli ktoś znajdzie się na miejscu — nawet, gdy nie rozumie tego mistycznego zmysłu przynależności do jednej nieszczęśliwej rodziny mimo wszystkich różnic między Arabami — to staje się wkrótce jasne, dlaczego żaden rząd o najbardziej nawet ograniczonych zasobach materialnych nie może zamknąć drzwi przed budzącymi litość uchodźcami. Przybywają oni w wielkości wypadków dlatego, że są przerażeni i zawsze dlatego, że presja „po drugiej stronie” jest większa niż mogą znieść.

Presja nie jedno ma imię. Można mówić o zastraszaniu fizycznym, gospodarczym i rasowym.

Co ma czynić kobieta, matka pięciorga dzieci, która znalazła się bez dachu nad głową, gdyż dom został wysadzony dynamitem, a jej mąż uprowadzony celem przeprowadzenia „dochodzenia”, ponieważ Izraelczycy twierdzą, że ktoś dał wodę do picia partyzantom? W danym wypadku męża zwolniono po kilku dniach, gdyż władze izraelskie orzekły, iż zasłała „omyłka”, ale rodzina nie miała już gdzie mieszkać.

Ze czego ma żyć zwolniony z pracy robotnik, gdy ceny artykułów powszechnego użytku znacznie wzrosły (ryż o 50 proc., a cukier o 90 proc.)?

Jak się mogą czuć ludzie na każdym kroku ponieważani przez okupanta, który uważa się za wyższego rasowo. Swoisty „herrenvolk” 1968 roku...

Od czerwcowej agresji Izraela ćwierć miliona Arabów przeniosło się na wschodni brzeg rzeki Jordan, zamieszkało tu pod namiotami, w barakach, żyjąc z dnia na dzień wśród niebawymych cierpień i niewygód.

Ale i tu Izraelczycy nie dali im spokoju. Lotowa prowokacja lotnicza, stałe ostrzeliwania spowodowały kolejny exodus. 70 tysięcy ludzi opuściło obozy w strefie Jordanu. Na drodze do Ammanu, stolicy Jordanii — notują korespondenci — ciągnie się rozpaczyli pochód uciekających ludzi. Pełne są wszystkie budynki publiczne i meczety Ammanu. Wokół miasta wyrosły całe osiedla namiotów.

Jak długo jeszcze będzie trwała ta prowizorka? Trudno znaleźć odpowiedź na to pytanie. Trwa akcja dyplomatyczna mająca doprowadzić do pokojowego uregulowania konfliktu. Specjalny wysłannik sekretarza generalnego ONZ, Gunnar Jarring, przeprowadził dziesiątki rozmów w stolicach Bliskiego Wschodu, nie wydaje się jednak, by jego misja mogła zakończyć się pozytywnie.

Prezydent Jugosławii, Józef Broz Tito, wystąpił z kolejną inicjatywą pokojową. Jego plan zakłada utworzenie wzdłuż granic Izraela z arabskimi sąsiedami stref zdemilitaryzowanych (chodzi, rzecz jasna, o granice sprzed 5 czerwca ubr.), ewakuację wojsk izraelskich z terenów okupowanych, rozwiązanie problemu uchodźców palestyńskich, zakończenie 20-letniego stanu wojny między obu stronami, a ponadto wolność żeglugi dla statków izraelskich po Kanale Sueskim i przez Cieśninę Tyrzańską.

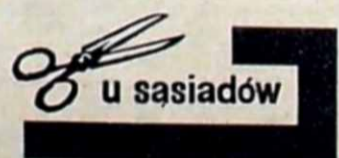
Tel Awiw bez żadnej dyskusji powiedział nie. Rozmowy, narady, spotkania ciągną się nadal. Słaba to jednak pociecha dla ludzi, którzy musieli opuścić swoje domostwa. Bezradnie czekają, ale różnie w nich nienawisć do okupantów, determinacja.

Co przyniesie jutro?

MAJ



Kiedy kocha się rzeźbiarstwo, sprawy pomniejszenia nie mają żadnej wartości — twierdzi Evelynne Damas, Mieszka w Londynie, ale ma obywatelstwo francuskie, ojciec był Grekiem, a matka Hiszpanką. Występowała już w kilku filmach, także w telewizji.



Dyskusja nad projektem konstytucji NRD

Wszystkich środowisk społecznych NRD trwa dyskusja nad projektem nowej konstytucji. Pytania, jak i analizy, dokonywane w toku zebrania, obejmują szeroki wachlarz zagadnień. Projekt konstytucji znajduje się w centrum zainteresowania całego społeczeństwa, koncentrując uwagę zarówno starszych jak i młodszych. Dyskusja spotyka się z szerokim odbiciem w publikacjach prasowych oraz w audycjach radiowych i telewizyjnych.

Oto niektóre, stosunkowo najczęście, poruszane problemy w pytaniach, na które odpowiedzi udzielała w toku zebrania czołowi przedstawiciele życia politycznego, gospodarczego i naukowo-kulturalnego. I tak np. żywe odbicie w dyskusji znajduje problem niemiecki. Na pytanie, czy konstytucja nie pogłębi podziału Niemiec i w jaki sposób podział ten może być przewyżczony, Walter Ulbricht stwierdził, że

zaistniał on wskutek powstania separatystycznego państwa zachodniemieckiego, a równocześnie do pogłębienia podziału przyczynili się różne układy NRF z państwami zachodnimi. Tym samym ustawodawstwo NRD nie może już mieć bezpośredniego wpływu na ten podział. Konstytucja NRD może pomóc w ustanowieniu normalnych stosunków z rządem NRF, pomagając obywatelom NRF w realnej ocenie stosunku sił.

W związku ze stwierdzeniem w projekcie konstytucji, że NRD jest „socjalistycznym państwem niemieckiego narodu”, padło pytanie, czy niemiecki naród w ogóle jeszcze istnieje, czy NRD nie rozwinięła się w samodzielny naród i jakie praktyczne wnioski dla zbliżenia obu państw niemieckich wynikają ze sformułowania projektu konstytucji.

Walter Ulbricht odpowiedział, że niemiecki naród istnieje a jest jedynie podzielony, w postaci dwóch państw niemieckiego narodu, tj. NRD i NRF. Wspólnie występuje w jednakowej formie (choć zazwyczaj już występować pewne niuanse) a także we wspólnej przeszłości, w czasie której obie części Niemiec wchodziły w skład jednego państwa. Postęp w rozwiązywaniu problemu narodowego uzależniony jest od demokratycznych przemian w NRF.

Projekt konstytucji nie wspomina o systemie wielopartyjnym, w związku z czym wynikły wątpliwości, czy nie oznacza to zmniejszenia się roli i odpowiedzialności partii

zablokowanych. Odpowiadając na to pytanie Walter Ulbricht stwierdził, że rola poszczególnych partii będzie nawet wzrastać. Podkreślił on, że pojęcie „system wielopartyjny” nie jest ścisłe. Większość obywateli NRD nie należy do żadnej partii i gdybyśmy mówili o systemie wielopartyjnym to oznaczałoby to jak gdybyśmy, w pewnym sensie, znaczną część ludności NRD traktowali marginalnie. Chodzi o to, aby socjalistyczne państwo było państwem wszystkich ludzi pracy tak, jak to projekt konstytucji formułuje.

Wiele pytań dotyczy problemów pracy. Np. odnośnie wyboru miejsca pracy wyjaśniła się, że, aby zaspokoić potrzeby społeczne związane z rozwojem poszczególnych gałęzi przemysłu, należy im zapewnić siłę roboczą w sposób zorganizowany; w przeciwnym bowiem razie może zaistnieć sytuacja, w której budownictwo zbraknie robotników, podczas gdy młodzi silni mężczyźni będą szli np. do zawodu tryzjerskiego, który, jak wiadomo, z powodzeniem mogą wykonywać kobiety. W dążeniu do zaspokojenia potrzeb społeczeństwa muszą być przy wyborze miejsca pracy uwzględniane wymogi społeczne.

Obowiązek wyuczenia się zawodu przez każdego młodego człowieka interpretowany jest w ten sposób, że obecnie, dzięki wszechstronnemu osiągnięciu gospodarczym, stało się możliwe stworzenie oparcia w konstytucji dla całego systemu popierania młodzieży.

Na jedno z pytań, jakie padło w dyskusji, czy przewiduje się zapewnienie środków materialnych dla realizacji artykułu 31 przewidującego obowiązek uczęszczania dzieci do szkół średnich odpowiedź brzmiała, iż istnieją wszelkie możliwości stopniowej realizacji tego rodzaju wymagań.

# Zegary stanęły o 5.17...

Kazimierz Braun



**R**OZLEGŁ się podziemny grzmot. W chwili po nim nastąpił wstrząs. Skorupa tynku zaczęła odpadać kawałkami od ścian. Dachy zafalowały i zaczęły przyskakać łuską dachówek. Ludzie zostali zrzućeni z łóżek, ciśnień o ściany, o podłogę, o sprzęty. Otworzy się szafy i zaczęły się wysypywać z nich ubrania. Z kredensów poleciały talerze, kubki, sztućców. Ze stółków spadły telewizory i radia. Zyrandole zawalowały i zrucyły kłose i żarówki. Obrazy osunęły się ze ścian. Sufity pękały i spadały na podłogi, na łóżka, na zrywających się ze snu ludzi. Podłogi zapadały się i leciały w głąb. Framugi drzwi i okien wylamywały się z murów. Wysokim tonem zgrzytały tłuczone szyby. Odlamywały się balkony. Przewracały się kolumny. Wieże meczetów, wysmukłe minarety, chwilały się jak drzewa na wietrze i zrzucały swoje strzeliste zwieńczenia. Latarnie drżały i pluły żarówkami. Padły ściany. Osuwały się w kurzawie całe bloki betonu, kamienia, cegły. Padły domy, hotele, kościoły. Połowa wielkiego dworca kolejowego rozpadła się w pył. Została tylko jego część z wielkim zegarem. Zegar stanął. Jego wskazówki do dziś są ustawione na tej godzinie: 5.17. To była 5.17 rano, dnia 26 lipca 1963 roku.

Potem nastąpiła cisza, przerywana tylko, jak eksplozjami, padaniem jeszcze nowych, zwichniętych w swej równowadze ścian, gruzów. Nad miastem wisiała chmura pyłu. Odezwały się jęki rannych, przywalonych, zasypanych, duszonych. I krzyki i nawoływania się ocinalych. Ludzie oszalmieni, nie rozumiejący jeszcze natury katastrofy, porywali dzieci, biegli w dół po schodach, wyskakiwali na ulice.

Aleksander biegnie z żoną i czteroletnim synkiem. Miał rozbitą głowę, bo wstrząs wyrzucił go z łóżka, a gdy padał rozbił się o szafkę nocną. Żona była pokaleczona jakimś szkłem. Mieszkali na drugim piętrze. Na schodach poniżej pierwszego pietra zaskoczył ich drugi wstrząs. Trwał kilkadziesiąt sekund. Zdołał się jednak wydostać z domu wśród huku podziemnego grzmotu, pyłu tynku, spadających cegieł. Znalazł się na ulicy. Wybiegł na jej środek. I wtedy, znów w odstępie kilku minut, nastąpił trzeci wstrząs. Na placach, na jednych ziemia drżała i pękała...

Pierwszy wstrząs był pionowy. Następne dwa poziome. Właśnie dlatego pęknięcia murów biegły pionowo przy rogach pokoi i ukosnymi rysami poprzez całe ściany. Jak by domy obmyła olbrzymia fala zostawiając rysunek swoich brzd.

Pierwszy wstrząs trwał 17 sekund i miał siłę 9 stopni według skali 12 stopniowej. Następny był dłuższy i chyba mocniejszy. Na miejscu go

jednak nie zmierzono. W czasie drugiego wstrząsu zawalił się bowiem budynek stacji sejsmologicznej uniwersytetu i umilkły instrumenty pomiarowe. Potem, przez następne dni, wstrząsy powtarzały się, ale były już słabsze: 3, 4, 5, 6, 7 i maksimum 8 stopni. Do dziś, od 26 lipca 1963, zanotowano w Skopje przeszło 800 wstrząsów.

W styczniu 1968 roku jestem w Skopje. Kolaćca u znajomych dziennikarzy. Gospodarz wyciąga z szafy adapter. Jest to polska „Karlołinka”. Pudło ma dwie białe, głębokie szramy. Gospodarz mówi z dumą: — Przywiozłem z Polski przed trzęsieniem i ocalało. Ktoś z obecnych, młody dyrygent, mówi: — Chrześcijaństwo dzieła czas na epoki przed i po narodzeniu Chrystusa. Dla nas, w Skopje, czas dzieł się na okres przed trzęsieniem ziemi i po trzęsieniu.

Zabitych było bardzo dużo. I nikt naprawdę nie zna ich ścisłej liczby. Skopje jest bowiem wielkim i rozległym miastem. Liczy około 250 tysięcy mieszkańców. Przepisy meldunkowe nie są ściśle przestrzegane. Rzecz charakterystyczna: każdy, dosłownie każdy ze stałych przecięt mieszkańców miasta, wymienia inną liczbę ofiar. Literat: przeszło półtora tysiąca zabitych i sześć tysięcy rannych; frizerzy: z tysiąc zabitych i mnóstwo rannych; reżyser z telewizji: tysiąc trzysta zabitych i dziesięć tysięcy rannych; kierownik: kilkaset zabitych, a rannych? — Kto ich policzył? Oficjalne dane mówią o 1070 osobach zabitych, 3500 ciężko rannych i 10.000 poszkodowanych.

Ale w istocie — kto ich dokładnie policzył? Rannych musiano być bardzo, bardzo dużo. Także zabitych. Choć Skopje miało szczęście w nieszczęście — i to także podkreślają wszyscy rozmówcy — katastrofa wydarzyła się wcześniej rano, w lecie, w czasie urlopów i wakacji. Zawaliły się prawie wszystkie szkoły i budynki uniwersytetu, ale były na szczęście puste. Runęły centralne dworce kolei i autobusów, ale było tam tylko po kilkanaście osób. Podobnie, poza wartownikami, nie było nikogo w bankach i na pocztach. Puste były kawiarnie i restauracje, kościoły i domy towarowe. Doprawy, góby to było w okresie i godzinach pracy i nauki, liczba ofiar mogłaby być nieporównanie, przerażająco wyższa. Najtragiczniejszy moment los spotkał hotele, a w nich turystów. W samym tylko hotelu „Makedonia”, w centrum miasta, zginęło sto kilkadziesiąt osób. Procentowo więcej zginęło przybyszów niż stałych mieszkańców. Dla tych katastrofa, choć totalna, dotknęła mniej ludzi, a bardziej ich dobytek. Zniszczeniu uległo 80 proc. zabudowy miasta.

Dumą i wiarą w energię ludzką napawa dziś widok Skopje. Ale cień katastrofy powraca w rozmowie z każdym nowo poznany człowiekiem. Cienie straszą pustymi placami na całym obszarze miasta, poczynałac od centrum.

Stoję przed wielką turystyczną mapą Skopje. W każdym miście jest dziś taka mapa. Zawiera plan i narysowane plastycznie ważniejsze budowle. Ta mapa w Skopje jest jedyna w swoim rodzaju i przejmująca: to stara mapa wykonana jeszcze przed trzęsieniem i tylko po-

tem, po trzęsieniu, czerwono przekreślono na niej budynki, które padły — poczta główna, dworzec główny, banki, teatry, kościoły, hotele... I to wraca jak leitmotiv. Jadę przez miasto samochodem ze znajomym aktorem. Umówiliśmy się na zwiedzanie. Ale to zwiedzanie zaczyna się tak: — Na tym pustym placu stała poczta, tu było muzeum, tu katedra, tu szkoła, tu hotel... Przypomina się Warszawa w 1945 r.

Miasto zostało zniszczone na powierzchni, a także i pod ziemią. Uszkodzona kanalizacja, brak prądu, brak wody, Dziesiątki tysięcy ludzi bezdomnych, bez żywności. Był skwar, południowy lipiec. Skopje leży na tej szerokości geograficznej, co Rzym, ale jest tu bardziej sucho, wysokie góry nie dopuszczają wilgotnych wiatrów z Adriatyku. Niebo było bezchmurne. Obudzeni o świcie grzmotem — sądzili, że to burza. Wyglądali przez okna. Ale niebo było czyste i napełnione blaskiem porannego słońca. Kiedy miasto zostało uderzone potwornym wstrząsem, wielu sądziło, że to bomba atomowa. Kilkaście osób zostało zasypanych w podziemnym tunelu na dworcu. Z obu stron zawaliły się schody, ale tunel wytrzymał i ludzie ocalili. Czekali kilkanaście godzin na odkopaniu. Kiedy żołnierze obsługujący koparki wyłamali w gruzach szparę i zawolali w głąb żeby wychodzić — ci ludzie wychodzili w milczeniu, z podniesionymi w górę rękami. Sądzili, że to wojna.

Wielu straciło dosłownie wszystko. Było lato. Ludzie spali w lekkich piżamach, koszulkach, i tak uciekali z domów. Sabina spała tylko w majteczkach. Tak matka wyciągnęła ją z łóżka za włosy, tak znalazła się na ulicy. Tuz za ich plecami zawalił się ich dom. Przez pierwszy dzień chodziła w tych majteczkach i koszuli swojego brata. Brat chodził bez koszuli. Oboje bosy. Potem rozdawano wszystkim prosta odzież i przetrzały chleb. Poszkodowanych, zależnie od wielkości strat, udzielano długoterminowych i bezwrotnych pożyczek. Bo krajowa i międzynarodowa pomoc przysłała bardzo szybko. I to jest w tej tragedii wspaniałe. Nienawiść i zbrodniczą pęcią się ciągle szeroko po kuli ziemskiej. Ale od czasu do czasu ludzkość daje jakby znak życia, sygnał, że uczucia solidarności i międzyludzkiej wiary — istnieją. Jest to ufne przypomnienie. A zarazem ukazanie przyszłości. Jakby przez wąską szelkę: jakich wspaniałych mógłby być świat, jak wyglądałaby instytucja ziemi i los człowieka, gdyby zasoby naszej planety i twórcza praca i inteligencja ludzi obracać ku dobru, ku wzajemnej pomocy, ku polepszeniu doli wszystkich. Pomoc dla Skopje była naprawdę międzynarodowa. Niedługo szesnastoletni zespół aktorów i lekarstwami wysłane przez Związek Radziecki, Polskę, Francję, Włochy, Wielką Brytanię, Stany Zjednoczone, Szwecję... Wojsko jugosłowiańskie rozpoznało dziesiątki tysięcy namiotów dostarczonych przez Układ Warszawski i NATO. Zbudowano blyskawicznie całe osiedla domków-baraków, które stoja do dziś i są wcalewie ładnymi willami jedno- i dwurodzinnymi.

sey fachowcy reprezentują większą biegłość w zawodzie, może dlatego, że wielu z nich pracuje w teatrze po 25-30 lat. Ale w tym miejscu dotknęliśmy znacznie szerszego problemu, który przekracza sprawę umiejętności posługiwania się grzebieniem czy igłą. Mam na myśli tradycję teatralną.

— Czy to znaczy, że tradycja ta jest jeszcze skromna?

— Nie tyle może skromna, choć i takie określenie ma tu pewną aktualność, co w trakcie poszukiwania, odkrywania siebie samej. Burzliwe dzieje Macedonii, chlubiące się wielowiekową kulturą, przysypywały niekiedy ową tradycję, uniemożliwiały korzystanie z jej wielowarstwowości pokładów. Dziś już wcale z jednej strony, na zasadzie reakcji, wprost kulturowej się dramaturgia narodowa, wydobyla się ze zjawiska, które swego czasu nie mogły ujrzeć światła sceny, z drugiej zaś można zaobserwować pewne luki, na przykład w systemie organizacji życia artystycznego. W tym względzie nie ma dotychczas szkoły teatralnej, zawołano zespoły aktorów składające się w pewnym stopniu z ludzi, którzy swego czasu wyróżnili się w ruchu amatorskim.

Zespół, z którym mieliśmy przyjemność współpracować, okazał się bardzo dobry pod względem aktorskim. Jedyną trudnością, potylnie przeszkadzającą, sprawiło aktorom macedońskim psychiczne wejście w klimat dramatu, co nie jest trudne do zrozumienia. Zetknęliśmy się — pragnę to mocno zaakcentować — z zespołem sprawnym scenicznie i niezwykle ambitnym. Liczy on 32 osoby i daje rocznie 300 przedstawień, w tym 8-9 premierowych. Interesującym, a nas nie spotykanym kierunkiem pracy tego teatru jest scena dziecięca i młodzieżowa; ten sam zespół dramatyczny bierze udział w spektaklach przeznaczonych dla dzieci i młodzieży.

— Czy znajome nam trudności z wypelnieniem widowni dostrzegł pan także w Skopje?

— Tak, nie bez smutnego uśmiechu kogoś, kto w zmartwieńskich znalazł towarzysza. Dlaczego mają kłopoty z frekwencją? Być może powodują je czynniki uniwersalne w swoim czasie, a więc sila telewizji i kina. Tak czy inaczej, trzy czwarte widowni to młodzież — ale „sachęćeni” przez organizatorów widowni.

— Znalazłmy się blisko spraw organizacyjnych teatru. Czy są one wywołane na sposób bliiski polskiemu?

— Och, nie, struktura organizacyjna teatrów jugosłowiańskich opiera się na zasadach rad teatralnych, w których skład wchodzi przedstawiciele wszystkich pionów placówki. W Skopje na czele rady stoi aktor, a drugim „po bogu” jest... organizator widowni. Dy-

Mieszkania są w nich 2- i 4-pokojowe, podłogi z desek lub z pięknej klinki, kafelki w łazienkach, werandy, ogródki. W barakach mieszczą się do dzisiaj urzędy pocztowe, wiele szkół, domów akademickich, hoteli.

Na zawalone gruzami ulice wyjechały budowlany. Odkopywano zasypanych — zrychli i umarli.

Tę starą kobietę w czerni wydobyto po trzech dniach. Rozmawiam z nią na cmentarzu, przysłała tu w niedziele przynieść swoim zmarłym trochę pomarańczy, papierosy, ciasteczka. Rozłożyła to wszystko na szerokim grobie. Trochę pojada sama. Częstoje każdego, kto się zatrzyma. Tu leży jej syn, synowa, dwoje wnuków. Spali w pokoju. Sufit upadł na nich już przy pierwszym wstrząsie. Ona spała w kuchni. Trzy dni czekała na odkopanie. Placze. Częstoje mnie ciastkiem. Na grobowcu z marmuru wyryta jest tarca zegara, którego wskazówki ustawione są na godzinie 5.17. Takie same zegary wyrze są na wszystkich grobach ofiar trzęsienia. Ta kobieta ocalała. Ale nie wszystkich zasypanych zdołano na czas odkopać. Nie od razu też udało się wydobyc wszystkie ciała zabitych. Nad miastem zawisła chmura straszliwego odoru. Przez kilka dni ludzie musieli chodzić po mieście w maseczkach z gazy na ustach i nosach. Nazajutrz po katastrofie wprowadzono godzinę policyjną od 18 wieczorem do 5 rano. Sklepy i magazyny były bowiem rozbite, mieszkania z ocalałym dobytkiem otwarte.

Najpierw przetrasowano ulice, by jak najszybciej uruchomić transport. Naprawiono kanalizację, wodociąg, przewody elektryczne, telefoniczne. (Wysokie odznaczenie i nagrodę otrzymał dyżurny mechanik w elektrowni, który w pierwszych sekundach pierwszego wstrząsu wyłączył całą instalację elektryczną miasta. Zapobiegł w ten sposób pożarom).

Przystąpiono do generalnej odbudowy. Naczelny architekt Skopje został Polak, inżynier Ciborowski, były główny architekt Warszawy. Naturalnie, wszystkiego nie można było odbudować. Cała zabudowa miasta zinynterwowano podejmując decyzje: restaurować, rozebrać lub — po prostu uprzętnąć gruz. Dziś gruzów już prawie nie ma. Stoi tylko sporo domów rozlupanych, popękanych, które jeszcze nie doczekają się remontu, albo remontu ich zamierzają. Wszystkie inne domy mają wzmocnienia, laty, nowe tynki. Miesz-

kaniem w bloku, który mój gospodarz od razu pierwszego dnia zrekonstruował; ten dom przetrwał trzęsienie, choć był trochę popękany. Ma konstrukcję żelbetonową. Na suficie i ścianach pokoju widać pod farbą zgrubienia i blizny, tam, gdzie były spary i pęknięcia. Teraz jest nowy tynk, nowa farba. Istnieją opinie, że całkowicie zaważyły się tylko te domy, które miały jakiegoś błąd konstrukcyjny. Niestety, było ich dużo. Naprawiano solidniejsze bloki i wille. Oczyszczano teren pod nową zabudowę. Kładziono fundamenty. Zbudowano parę nowoczesnych gmachów w centrum, ale jest tam nadal bardzo dużo miejsca pod gmachy użyteczności publicznej, które staną w przyszłości. Biedni polatali, polepili glina, popierali jak mogli swoje domki. Sowił, państwo, spółdzielnie — budują nowe bloki, nowe osiedla. Ludzie zamozni nowe wille. Buduje się szybko.

Półtora roku trwała budowa dwóch nowych teatrów. „Dramski Teatar”, w którym reżyserowałem, jest typowym przykładem budownictwa nowoczesnego, funkcjonalnego i ogromnie taniego. Został zbudowany za sumę odpowiadającą 18 milionom złotych polskich.

Z nową zabudową zmieniła się geografia miasta. Powiększono znacznie jego teren. Z północy na południe Skopje ma teraz przeszło 30 km długości. Nowe osiedla buduje się przestrzennie, bez dawnego siołocznia. Do dziś zbudowano 14 nowych osiedli. Buduje się nowe ulice i nowe szosy. Nie nadają tylko budowa chodników dla pieszych. W zimie, gdy nie ma mrozu, wszyscy chodzą niewiarygodnie zabłoćeni. Z czasem tempo budowy i pomoc zagranicą osłabły. Ale zrobiono już bardzo dużo. I nadal robi się dużo.

Dzieje tego miasta, jak niewiele miejsc na świecie, są wyrazistą lekcją historii ludzkości. Są obrazem nieuchronnej zniszczalności kultur materialnych, budowli, ludzkiego dobytku. I są zadatkami ufności w iskrę energii twórczej człowieka, w realność jego egzystencji duchowej, w samo życie, które jest wartością najwyższą. Te wartości ludzkości przenosiła dotąd przez wszystkie dzieje katastrofy.

Oto Skopje. Było tu miasto już za czasów rzymskich. Na przestrzeni dwóch i pół tysiąca lat trzy razy niszczyły je do szczętu trzęsienia ziemi. Ale za każdym razem ludzie odbudowywali je na nowo.

nieważ obok treści dramaturgicznej utworu, co również zaciemnia obraz całości.

— Jak, w takim razie, przyjął „Niemców”?

— Na ogół przychylnie, arszkowieli niektórzy z naszych sympatyków gospodarzy zarzucał nam zbyt realizm. Jest to, jak sądzę, typowy przykład wartościowania schematycznego, wynik zafascynowania się nieograniczoną wolnością teatralną — my te doświadczenia mamy już poza sobą. Owszem „Niemcy” miłośnicy się w konwencji realizmu, ale nie k o m p o n o w a n e g o, który interesuje nas od dłuższego czasu. Ta orientacja zaczyna zresztą w Polsce dominować.

— Czy te rozbieżności nie zniechęcają wzajemnie do kontynuowania kontaktu, który nawiązałicie?

— W żadnym wypadku! A najlepszym tego dowodem planowana wymiana już nie poszczególnych osób, ale całych zespołów teatralnych Lublina i Skopje. Na jesieni jedziemy do Jugosławii, gdzie pokazemy dwie sztuki: polską i obcą. Także w tym roku przyjadą do nas reżyser i scenograf ze Skopje — w ramach rewanżu — którzy zrealizują jedną ze sztuk macedońskich. W roku następnym gościć będziemy tamtejszy Teatr Dramatyczny, który zaprezentuje lubelskiej publiczności dramat autora macedońskiego i — zgodnie z przyjętą zasadą — obegeo. W celu ugodnienia szczegółów i zapoznania się z Teatrem im J. Osterwy w najbliższych miesiącach odwiedzi Lublin dyrektor Riste Stefanowski. Rozbieżności artystyczne nie są przeszkodą, ale zachętą do spotkania.

— Interesuje mnie, czy polska dramaturgia współczesna jest do br z e z n a n a w Jugosławii?

— Kierownik literacki Teatru Dramatycznego w Skopje, pan Danzel, zna doskonale twórczość sceniczną m.in. Kłótwica, Mroka i Karpowicza, a także naszą poezję i literaturę współczesną. Orientacja tego młodego poety nie jest wyjątkowa. Jugosłowianie dbają o to, aby ich młodzi zdolni twórcy kultury byli obecni w świecie. Zarówno myślni, jak i cialeni. Stąd częste wojaże artystów jugosłowiańskich po świecie.

— Dziękuje panu dyrektorowi za te interesujące refleksje. A także za to, że za rok zobaczymy w Lublinie macedoński Teatr Dramatyczny.

Rozmawiał: Ireneusz J. Kamiński

## Współpraca teatrów

# LUBLIN - SKOPJE

### Rozmowa z Jerzym Toronczykiem



Fot. J. Jurkowski

przyjmowani są w Skopje Polacy. Tak właśnie gośczeni byli u słonecznej stolicy dyrektor Teatru im. J. Osterwy z Lublinie, Jerzy Toronczyk, i kierownik artystyczny tej sceny, Kazimierz Braun, którym przypadła rola zainicjowania polsko-macedońskiej współpracy teatralnej. Rozmowa z dyr. J. Toronczykiem wprowadza w szczytów tej peregrynacji.

— Znalazłmy się w Skopje na zaproszenie tamtejszego Teatru Dramatycznego i dzięki inspiracji naszego Ministerstwa Kultury — Sztuki. Macedończycy zaproponowali wystawienie sztuki jednego z trzech polskich autorów współczesnych: w reżyserii i scenografii Polaków. Zdecydowaliśmy się na „Niemców” Kruczyńskiego, albowiem doświadczyliśmy, że nasz największy powojenny dramat polityczny powoduje zbliżyć macedońskiego widza do problematyki, która także do dzisiaj mieści się w centrum polskiej uwagi narodowej. Trzeba wiedzieć, że Macedonia nie doświadczyła tak okrutnie jak my — zacydowała o tym historia — geheny hitlerowskiej okupacji. Reżyserował „Niemców” Kazimierz Braun, ja opracowałem scenografię.

— Zadrżała szybkość, z jaka Skopje powróciło do normalnego życia...

— Nie tylko dziś, ale i oszalmia. W czasie trzęsienia ziemi Teatr Dramatyczny został doszczętnie zniszczony, lecz w krótkim czasie postawiono nowy budynek, choć już nie w centrum miasta (tam, gdzie stał stary gmach), ale nieco na uboczu. W tej chwili teatr posiada całkiem niezłe warunki techniczne, natomiast świetna, urządzenie światłowe itp. — choć do największych nie należy (około 400 miejsc). Mniejszą natomiast sprawność wykazuje sam zespół techniczny, przyzwyczajony do pracy w rytmie sjęsty. Obowiązują także, że nasi aktorzy mieliby nieco pretensji do tryzjerów i krawców. Lubli-

Polskie kontakty z macedońskim Skopje rozpoczęły się po wielkiej tragedii, jaka nawiedziła stolicę republiki w 1963 r. Nasi architekci opracowali plan odbudowy miasta, zniszczonego trzęsieniem ziemi, i w konsekwencji utworzali drogę tej prawdziwej serdeczności, z jaką

# PANIENKI

(Dokończenie ze str. 1)

ślają wybór tematu egzaminacyjnego, więc nie kusiłbym się tu o jakieś wnioski ilościowe dotyczące czytelności „powieści współczesnej”. Lecząc proporcję tę (74,4 proc. — 25,6 proc.) osłabia, niekorzystnie dla moich spodziewań, szereg „ubocznych” faktów.

Otóż między pracami na temat *Moja ulubiona powieść współczesna* (41) znalazło się: 18 — o „Popiele i diamentach”, obowiązkowej lekturze, wielostronnie w szkole walkowanej, 1 — o „Starem i nowym” (obowiązkowa lektura), 3 — o „Stawie i chwale” (książka spośród lektur szkolnych „do wyboru”), 1 — o „Lordzie Jimie” („do wyboru”), 1 — o „Samsonie” („do wyboru”). Co czyni prac 24. Z „konkurencji” trzeba by jeszcze chwilowo wylczyć 5 prac o tzw. powieści młodzieżowej („Zapalka na zakręcie” i „Zawsze jakieś jutro” Siesickiej, „Dziewczyna szuka drogi” Jackiewiczowej oraz „Wicher i trzciny” Krzywickiej). Co czyni elaboratów 29.

Jako obiekt poważny i zarazem obiekt względnie samodzielnego wyboru ostaje się więc 12 pisarzy. Pośród 160 niewiernych — 12 apostołów „współczesnej” prozy (a właściwie dziesięciu, bo Dygat i Zukrowski — Judasze — zjawiają się dwa razy): Borowski „Pożegnanie z Marią”, Brandys — „Sposób bycia”, Bratny — „Krok ostateczny”, Dygat — „Disneyland”, Filipowicz — „Pamiętnik antybohatera”, Konwicki — „Sennik współczesny”, Morcinek — „Inżynier Szerepa”, Rusinek — cykl: „Prawo jesienni”, „Igraszki nieba”, Zalewski — „Pruski mur”, oraz Zukrowski — „Kamienne tablice”.

Co w efekcie daje 7,5 proc. (12 elaboratów) „czystego” (?) zainteresowania lekturą — u latorośli o inklinacjach polonistycznych! Przyłóżmy. Lecząc bierz licho procenty, gdy idzie o trzydziści i siedem żywych panienek! (tylko cztery chłopcy znaleźli się między zwolennikami „współczesnej” prozy). Istotniejsze są charakterystyki jakościowe prac. I płynące stąd wnioski — o autorkach.

(Z odwołania)

Tuszę niezłomną nadzieję, że próba moja zostanie łaskawie i przebytnie wystuczana i uwzględniona, gdyż od czasu wiadomości o nie przyjęciu córki na studia żal i ból nie uchodzi z piersi, sen ucieka z oczu dlatego córka moja cierpi, mając odpowiednio warunki przygotowawcze nie została przyjęta.

Coś chyba szwankuje w szkolnictwie średnim, skoro dyplom maturalny nie zawsze bywa wzytówką

względnej) chociaż dojrzałości umysłu i sprawdzianem podstawowej wiedzy o literaturze. Mówię przede wszystkim, ale nie tylko, o miłośniczkach powieści młodzieżowych (dla młodzieży o młodzieży).

Caly „rozbiór literacki” ogranicza się tu do anielsko naiwnych streszczeń... piekielnie naiwnych (w wypadku powieści dla młodzieży) fabul. Przy tym największe zajmują się panny jedną tak rzeczą: pragnie [bohatera] poznać kogoś, z kim mogłaby dzielić wszystkie smutki i radości. Marzenia się wkrótce się spełniają, bo oto... Ta śliczna dziewczynka przekonała go, że [...] tak dzielny mądry chłopak jak on, jest warty prawdziwej miłości. Wszak zle czuwa (bo życie to nie tylko przyjemność i szczęście, to również żal, cierpienie z którym musimy się pogodzić). Prawdziwą miłość chcą unieścić: a) perfidnie skłonności natury ludzkiej (ON toczy się w upadek) — dużo pił, palił, przychodził późno do domu. [...] Stał się po prostu złym chłopcem; b) historia — Rozkaz i przysięga były dla niego prawem. Musiał jeszcze dokonać jednego z bratobójczych morderstw na osobie tow. Szczuki. Nie mogą się pogodzić z tym dlaczego właśnie on musiał ten rozkaz wykonać, wtedy, kiedy darzył uczuciem uroczą Krystynę. Alieści są metody zwalczania demonów: a) indywidualne — Pocięzienia szuka [ON], u babki Mady — osoby postrajającej dopomoc człowieka w trudnej sytuacji; b) społeczne — gdyby wszyscy potrafili zdobyć się na szczerść, wtedy nie trzeba byłoby delikatnie zwracać nikomu uwagi. Wypadek taki zaistniał w stosunku do jednego z działaczy Rady Narodowej w Brzeczach, który nie chciał płacić alimentów, a (jak się okazało) komornik nie wozwał na pomoc milicji uważając, że w tym wypadku milicja nie może.

Są i „waloryzacje formalne”: Powieść „Zapalka na zakręcie” napisana jest językiem potoczystym, prostym, dzięki czemu czyta się ją bardzo łatwo; lub: pisała [Sosiecka] „Sosiecka” językiem bardzo prostym, zrozumiałym, co w rezultacie uczyniły [!] książkę o dużej wartości artystycznej.

Rozbiór literacki już był. Konstatacje filozoficzno-moralno-obyczajowe też. Idzie czas refleksyj subiektywnych: od wewnętrznych przeświadczeń — Ich [pary XI-klasistów] historie wydają nam się zupełnie realne, nie jakieś wymyślone — i wewnętrzne ukojenia — Działa na mnie kojąco [lektura Krzywickiej] — przez całkowite zapamiętanie — Zapomniałam [w związku z lekturą Siesickiej], że jako

nie do szpiku kości; odtracona przyroda odskończyła jakby o krok, znalazłem się nagle, poza czasem i poczułem się samotny w tym swoim matym, blatym światku jak człowiek, który zgubił swój cień, i Niebo okazało się nagie puste, i nie było już ani Zła, ani Dobra, ani nikogo, kto by mógł mi rozkazywać.

Najbardziej reprezentatywna i najlepiej przystająca do spraw, które miała dźwignąć, wydaje się proza Nalkowskiej i Borowskiego. Problem tragizmu, centralny dla wymienionych poprzednio utworów zyskuje w realizacji tych pisarzy szczególnie przejmujący wyraz. A jest to przecież proza najbardziej oschła, wyzuta z uczuć, w przeobrażający, monotony, nie do zniesienia sposób rejestrująca fakty, relacje ludzi, którzy przetrwali, beznamiętnie opisująca stan faktyczny. I właśnie ta uczciwość wobec faktu, rezygnowanie z wszelkich ozdób, pozostawianie na uboczu własnych subiektywnych uczuć i przeżyć stanowi o wymowie artystycznej utworów, o tym, że owo słynne *Ludzie ludziom zgotowali ten los* — zdanie prościutkie i oszczędne — jest wykładnikiem najgłębszego tragizmu.

Jak słusznie zauważono, u podstaw nowej perspektywy tragicznej mieści się dewaluacja wyborów ludzkich, niemożność dokonania jakiegokolwiek wyboru. Zburzona relacja istniejąca dotychczas zawsze między mordercą a ofiarą. W sprząających okolicznościach sytuacja może być wielokrotnie odwracana. Demonstruje tę zasadę w swoich opowiadaniach obywateli Borowski: Ilość była tu pośredniczką zbrodni, potencjalne ofiary przemieniają się w oprawców. Oto opowieść o handlowej cenie szczęścia (*Proszę państwa do gazu*): Kanada obudzona chlebami, marmoladą, cukrem, pachnącą perfumami i czystą bielizną ustawia się do odmarzania. Kapo kończy ładowanie kotła od herbaty słodem, jedwabiami i czarną kasą. To są bramy dla wachmanów. Puszczają komando bez kontroli. Parę dni

wi o początku świata, o bogach, o ustanowieniu praw i rytuałów, o bohaterach, którzy zasłużyli na czesie niemal boską. Daje człowiekowi stworzone zachowania się w świecie, jest formą stosowania nakazów i zakazów, stąd jego znaczenie światopoglądowe. Kiedy traci swoje dotychczasowe funkcje i znaczenia, kiedy pozbawiony zostaje instytucji towarzyszących, może, ale nie musi, przejść do literatury i stać się tam elementem ważnym, ale zmienia jednocześnie swoje funkcje. Sam mit nie jest ani estetycznie doniosły, ani nie; jego walory są natury pozatekstowej i dopiero literatura czy sztuka może go odpowiednio artystycznie ukształtować.

Literatura należy również do twórców kultury i jest wyrazem aktywności człowieka, zwierciadłem jego zmagania, dążeń, nadziei i lekkości. Mimo rozlicznych zadań jakie spełnia, nie ma dobrej opinii i pewnie nie bez powodu: służyła i służy różnym systemom, ideologiom i racjom. Zarzuca się jej „mitotwórstwo” czy „bańnotwórstwo”, fikcyjność, subiektywizm w doborze interpretowanych faktów, demagogię — w sumie nie odpowiadające rzeczywistości obra-

## MODA NA MITY

zy świata. Tworzywo, którym się posługuje, język, od stuleci jest materialem równie opornym, nie dajemy się nagiąć do granic, gdzie można „odpowiednie dać rzeczy słowo”. Przy tym wszystkim literatura jest, w pewnym sensie, dokumentem swojej epoki i jak każdy twór kultury jest przez swoje czasy napiętnowana: determinuje, ale podlega również determinantom. Określa ją nie tylko stosunek do historycznej współczesności, w której powstała i żyje, ale także stosunek do przeszłości kulturalnej i tradycji, nawet przy jej nastawieniu antytradycyjnym i założeniach eksperymentalnych. Pełnymi garściami czerpie z rzeczywistości pozaliterackiej oraz z wybranej przez siebie tradycji kulturalnej i literackiej. Wybranej — bo każda literatura (i sztuka w ogóle) wybiera z przeszłości te momenty, które stanowią dla niej perspektywę; tworzenie tradycji nie kończy się na selekcji faktów, lecz na ich interpretacji i na przekształcaniu.

Poza konwencjami, gatunkami i świadomością teoretyczno-literacką literatura przejmując inne elementy tradycji, momenty filozoficzne, światopoglądowe i religijne, które służą jej konstrukcjom świata przedstawionego. W tej płaszczyźnie pojawia się w literaturze mit zryw, aktualizowany, zyskujący nowe, równoprawnione ze znanymi z przeszłości warianty, pełniące nowe funkcje światopoglądowe. W ten właśnie sposób oddziaływał na kształtowanie się wizji świata w modernizmie zachodnim i polskim mit diogenizacji i mity wegetacyjne, które ostały się niszcząc krytyczne myśli filozoficznej antyku dzięki temu, że były kultami ludowymi. Modernizmowi przywróciła je filozofia Nietzschego, zyskującą w tych czasach olbrzymią popularność. Wyspiański na-

przykład w swojej „Nocy listopadowej” wprowadza mit wegetacyjny, który nie jest tylko ornamentem, lecz wyraża stosunek autora do powstania, jego głębokie przekonanie, że „umrzeć musi, co ma żyć”. Przykładów takich w twórczości Wyspiańskiego można znaleźć więcej.

Nie jest to jedyny sposób istnienia mitu w kulturze; może się on przejawiać jako sila mitotwórcza tworząca nowe mity społeczne, polityczne czy literackie. Zdarza się, że mity nowe przejmują i przekształcają w określonym kierunku mity znane z przeszłości, albo że mity stare, ze względu na identyczność struktury, przydatne są do wyjaśniania mitów nowych, czego przykładem może być „Doktor Faustus” T. Manna, gdzie autor użył starego mitu faustycznego do analizy mitu hitlerzyzmu. Podobne zjawisko można obserwować w twórczości Gravesa, Döblina, Jensa, Bocheńskiego i wielu innych pisarzy.

Mit nie zawsze objawia się w literaturze europejskiej w żywej for-

mie jako element kulturotwórczy czy światopoglądowy. W znakomitej większości przypadków, już od starożytności, występuje jako zespolony motywów, odobników i obrazów, jako kostium, alegoria czy symbol.

O ważności problemu świadczy nie tylko wielka ilość publikacji naukowych, ale również fakt, że tegoroczny kongres Penclubu był poświęcony omówieniu mitów i legend jako inspirującego źródła literatury. Omawiał go w „Kulturze” W. Natanson, streszczając główne tezy zjazdu. Postawiono hipotezę, że mity i legendy folklorystyczne były zapewne jedną z przyczyn powstania piśmiennictwa; pewne jest, że stanowią i stanowią natchnienie literatury. Wyróżniono dwa typy mitów: żywe, tak jak je rozumie antropologia, i literackie, kreacjonistyczne, które zatrafiwszy swe związki sakralne i światopoglądowe służą twórcom do interpretacji literackiej. Oprócz tego mówiono o mitach tworzonych przez literaturę i mających walory światopoglądowe, jak np. romantyczny mit Wetherera czy narodowe mity „polskie” mówiące o „Chryśtusie narodów” i „siostrze ukrzyżowanego”.

Naukowe spory o mit, jego genezę, istotę i funkcje spełniane w kulturze, są sporami o wyobrażenia świata. Mit jest uzasadnieniem dla ahistoryczności, bo opowiada się zawsze przeciw historii i podkreśla walory koncepcji ponadczasowych, uniwersalizujących.

Urszula Kowalska

nie tylko szczegółowego opisu, nie tylko artystycznej weryfikacji, ale przede wszystkim ustalenia rangi przemian, przez które przeszedł człowiek i określenia dlań miejsca w świecie. Nie też dziwnego, że Antygona naszych czasów, Antygona Anouilha, stwierdza: *my jesteśmy z tych, którzy stawiają pytania aż do końca*. Zaś w wypowiedzi André Malraux znajdujemy uzasadnienie tego stanowiska: *Człowiek może się bronić tylko twórczością*.

Tak więc kwestia wojny w literaturze ostatniego ćwierćwiecza to nie tylko sprawa tematyki, nie tylko zagadnienie społecznych i politycznych przemian, dla których stała się punktem wyjścia, ale także tendencja do skonstruowania bogatszego o tragiczne doznania krajobrazu ludzkich doświadczeń, jego moralnej i psychologicznej perspektywy.

Nie ulega wątpliwości, że w literaturze polskiej zagadnienie to ma odrębny charakter niż w piśmiennictwie innych krajów. Wrześni, okupacja, obozy — to ów kontekst historyczny, w którym ludzkie dzieje przybrać musiały określony kierunek modyfikacji. Dlatego też wartościowa skądinąd książka Kunciewiczowej *Zmowa nieobecnych* nie sprawdza się, bo konstruuje wersję bez odniesienia do rzeczywistości. Dość też przypomnieć dramat sarrowskiego Orestesa („Muchy” 1943 r.), aby się przekonać, że mimo wspólnych założeń zaznacza się wyraźna rozbieżność — zrozumiała jeśli zważy się jej przesłanki filozoficzne. Powołując więc Orestesa na świadka literackiej wędrowki przez zbrodnicę, zdać sobie trzeba sprawę z różnic kategorii, w których sprawa ostatecznie się rozstrzygnie.

Orestes: Oby samemu sobie, wiem. Poza naturą i przeciwny naturze, pozbawiony jakiegokolwiek usprawiedliwienia nie oczekuję znikąd ratunku i wiem, że w takim nie znajduję ucieczki. Ale wódze pod twoje prawa skazany już jestem na to aby nie uznawać innego prawa niż własne.

Nie oczekujący znikąd ratunku i pozbawieni jakiegokolwiek praw są bohaterowie polskiej prozy — ale jedynie w oczach ludzi z zewnątrz. Nawet ci, którym niezbitnie dowiódł nieuchronności losu Wrześni, nawet ci, którym klęska powstania warszawskiego czy cień obozów koncentracyjnych odją wszelką nadzieję, nie są nigdy pozostawieni całkowicie samym sobie. I niezależnie od tego czy sprawa wojny w tych bezpośrednio do niej niemal przyległych świadectwach literackich widziana jest w aspekcie holdu i pamięci, czy jako obrachunek z przeszłości, czy też zawiłany spłot, z którego z trudem wysypywało się nowe życie, kwestia ta zawsze prowokowała pisarzy do sporu o człowieka, jego prawa i — odpowiedzialność.

Dorobek owych pierwszych lat powojennych jest spory, zarówno jeśli zważyć ilość pozycji, jak też ich rangę artystyczną: *Medaliony* Zofii Nalkowskiej, *Krata Poli* Gajewickiej, *Pożegnanie z Marią* Tadeusza Borowskiego, *Z kraju milczenia* Wojciecha Zukrowskiego, *Noc* Jerzego Andrzejewskiego, *Krajobraz niezrozumiany* Kornela Filipowicza, *Święta kula* Jerzego Putramenta, *Czas* nieludzki Stefana Otwinowskiego, *Miasto niepokonane* Kazimierza Brandysa, *Droga wiodła przez Narvik* i *Trzydziaste opowieści* Ksawerego Pruszyńskiego, *Szekspear Rudnickiego*, *Wrześni* Putramenta — dość łatwo pomnożyć te wyczerpanie jeszcze o kilkanaście pozycji. A jeszcze przypomnieć trzeba, że erę pamiętników z lat okupacji, wśród których nie brak pozycji bardzo wartościowych i z literackiego punktu widzenia, otwiera książka Szmaglewskiej *Dymy nad Birkenau*. A jeszcze warto odnotować bliższe nam dzieła w czasie i nie mniej doniosłe dzieła Iwaskiewicz, Holuja, Rudnickiego, Zukrowskiego, Bratnego, gdzie ta problematyka ustawicznie się przejawia. A jeszcze *Tren* Czeskiej, *Trisimus* Grochowiaka, jeszcze przemienione przez poe-

**Przed maturą**

**BEZ FANFAR**

Joanna Ostrysz

Orestes: Jesteś władcą bogów, Jupiterze, władcą kamieni i gwiazd i władcą morskimi... Ale ludzi nie władasz... Nie jestem ani panem, ani niewolnikiem swojej wolności. Ja jestem swoim wolnością. Zaledwie mnie stworzył, już przestałem do ciebie należeć.

**K**IEDY w roku 1964 na łamach „Kultury” rozstrząsano zagadnienie czy młodzi pisarze mają prawo w swojej twórczości do eksploatacji problematyki wojennej, czy ci, których dzieciństwo, skazane przez wielki kataklizm nie mogło im jednak użyć dojrzałości w pełni perspektywy, potrafiały wnieść coś nowego do zagadnień tylekroć już opracowywanych, nie uwzględniono faktu, że w ogóle takie stawianie sprawy jest absurdalne. Doświadczenia, jakie przyniosła z sobą wojna — lata okupacji, obozów, walki podziemnej i starć na frontach — domagały się

**Kamena str. 4**

# JAKBY STAROŚWIECKIE

przysłała polonistka należałoby się [!] przeczytać coś Franca, Zola czy Brychta zamiast czytać Siesicką — do pokoleniowego welschmerzu — do pokoleniowego welschmerzu! Często jak One (żywe dziewczęta) często jak Joanna (bohaterka), która lubiła poezję a w szczególności ballady Mickiewicza nie mogą znaleźć swego miejsca w życiu — oraz do pokoleniowego protestu — Może gdyby dorobił chwili jakąś książkę o tematyce młodzieżowej to z pewnością inaczej mówiliby o nas. Ha!

Przeczytałem jakąś książkę (Siesicka — „Czas Abrahama”, skąd pochodzi „głównie” motto artykułu). I nie zaliczylibym siebie do generalnych wrogów tej twórczości, bo może ona spełniać pozytywne funkcje — jako szczególny rodzaj pisarstwa zasadniczo użytkowego (o nastawieniu bezpośrednio dydaktycznym), jako typ działalności przystosowanej (i — w efektach — stosownej) dla panienek „na zakręcie” (15—17-letnich?), pisarstwa więc, które tkwi poza obrębem dokonania artystycznych sensu stricte i w założeniu swym jest ograniczone oraz uproszczone (co mimochodem ujawniły „waloryzacje formalne”).

Wszak dziewczęta mają lat 18—19 i sama skłonność do tego typu lektury — jako „ulubionej współczesnej” — już je określa. A — z drugiej strony — owe rozczulające dywagacje, ów sposób widzenia utworu (nie tylko zresztą powieści dla panienek) i świata!

Wycisnąć to wszystko, i cóż się staje? Pierwotna, mimetyczna wrażliwość, odbiór całkowicie naiwny (utożsamianie się z postacią literacką), sporo panięńskich egzaltacji i umysłowe dziewictwo (nie dziedzictwo, proszę adyustatorów, lecz dziewictwo, bo umysłowość tych panienek wręcz wymyka się wszelkim kategoriom, skryzystalizowanym, ogólnikowo choć, na linii: staroświeckie — nowoczesny, chyba że odgrywa tu rolę „archetyp” melodramatycznych ciągów praprababek).

Całą tę sprawę można by przypisać nie tyle do kwestyj świadomego czytelnictwa młodzieży i względnie dojrzałego stosunku wobec rzeczywistości, ile do problemów psychologii rozwojowej, twierdząc, iż dziewczyny znajdują się — jeszcze — „na zakręcie” (płynna granica między 15 a 19 rokiem) i zostaną — wkrótce — całkiem rozsądnymi panienkami (tyle że na studia muszą trochę poczekać). I ja się z tym zgadzam, dobitnie przemilczając niebezpieczeństwo wyprzedzenia się omawianych zjawisk — w subkulturę.

Wszelako zgoda moja zaprawiona żółcią. Bo kwestia tyczy się wcale

pokażnej (łatwo przypuścić) lechby — maturzystów. Pytanie: czego problemem jest dziś „świadectwo o j rzalności”? (od pesymizmu ratuje trochę perspektywa 12-letniej edukacji młodzieży w zreformowanej szkole). No i jak winny „reagować” uniwersyteckie filologie? Gdyż, w świetle obowiązujących kryteriów, trudno czasem nie przyjąć takiej panny — jeśli „wypunktuje” ona komisję stopniami z matury, wiedzą faktograficzną na egzaminie ustnym i przynależnością socjalną. Tu też tkwi problem.

*Dlaczego „Lord Jim” podobał mi się? — na ogół powieści ta nie jest rozchwytywana jak „Słoneczniki” Snopkiewicz, czy „Tancerze” Jackie-wiczowej.*

Śczęściem są także panienki, z którymi chciałoby się rozmawiać serio. Wpierw o tym, czego ich prace... nie zawierają. A nie zawierają, podstawa w owej choć, orientacji w jakimkolwiek ogólnym zjawisku składającym się na XX-wieczne życie umysłowe. Unikalny dowód „poznawczego kontaktu” w tej materii wywołuje litość i trwogę: co egzystencjalizm zakłada? — egzystencjalizm zakłada, że człowiek jest samotny, nie ma oparcia w świecie, nie może być wolny [tak], ponieważ jest zdeterminowany przez pewne czynniki [tak!], spod których nie może się wyłamać [tak!]. Egzystencjalizm mówi, że człowiek nie zawsze jest dobry, czasem wręcz tragiczny, określony przez wybór. Klaniają się „Drogi wolności”. I klaniają się po próżnicy, jako że orientacja panienek w głównych zdobyczkach literatury powszechnej XX stulecia to również jedna - wielka - biała - plama! Volens nolens i radykalne opozycje, które w stosunku do XIX-wiecznego modelu powieści realistycznej usankcjonowała przede wszystkim proza obca, są także ładem nieznanym (choć temat dopuszczał odwrotną możliwość). Literatura nie całkiem powszechna, proza całkiem obca — o ironio dwuznacznych słów w jednoznacznej sytuacji!

Delikatne te sprawy zmuszają, oczywiście, do kilku zastrzeżeń (na co przyjdzie czas). Tu bawilem się jedynie w pewne rudymenta, bez których wszak ciężko myśleć o sensownym rozumieniu kategorii: „powieść WSPÓŁCZESNA”. — Współczesna powieść, dzieląca się na antrywielistyczną, psychologizującą, psychologiczną itd. [?!], również posiada swoją filozofię i to jest jeden z jej wielu atutów — w takich „określeniach” wyczerpuje się panieńska znajomość rzeczy (jeśli pominąć go-

losowe „ciurki” typu: Hemingway, Steinbeck, Andrzejewski, Iwaszkiewicz, Kobate, Brandys).

Zresztą, gdy idzie o jakieś precyzyjniejsze kryteria opisu strukturalnego, pienia się tam beztroško kwiatki świętej ignorancji na zielonych łączkach mowy-trawy: Gładki, potoczny język, zwyczajność stylu [..]; lub: stylizacja środowiskowa [język] nadają powieści żywość i urozmaicenia akcji; albo: wielkim artystem można nazwać umiejętność wywołania u odbiorcy wrażenia, jakie daje epika, bez jej pełnego użycia. Czy można wymagać u odbiorcy istotnej umiejętności różnicowania faktów literackich, gdy zasób jego wiedzy o strukturze artystycznej (powszechna bolećka szkolnych edukacji) prezentuje się zgola miżerny?

Toteż nazwę „powieść współczesna” traktuję panny jako termin-worek, bardziej myśląc o danych edycji niż o istotnej zawartości (vide pewne książki wśród dojrzałych lektur). „Patriotyzm” literackich upodobań zyskuje tu wymowę nieco żałosną.

Lecz omiamy dziedziny różnorako wstydlive. I zarzucmy argumentację negatywną, bo są kwestie bezpośrednio uchwytnie: co „ulubiły” i czego na ogół szukają panny w prozie? A też jak znajdują się wobec zjawisk mogących wywołać sprzeciw ortodoksów kanonicznego realizmu?

W cenie jest, wąsko rozumiana, wartość poznawcza. Złoża autentyczności: wszelkie powieści autobiograficzne wprost uwielbiam, ponieważ mogę dowiedzieć się wielu ciekawych rzeczy z życia pisarzy czy też innych stawnych ludzi. A to jest bardzo interesujące. Konkret empirii literackiej (ex motywy krajoznawcze). Faktografia genety: że postacie conradowskie mają swoich prototypów, że fabuły opowiadań i powieści zostały oparte w większości na faktach autentycznych. To poniekąd potęguję moją sympatię dla Jima i Almayera. Sensy bezpośrednie fikcji literackiej, zamknięte w granicach życiowego prawdopodobieństwa, mogące przylowywać realny konkret historii, polityki, socjologii lub psychologii: Książka, która potrafi ożywić i przybliżyć historię jest moim zdaniem prawdziwym dziełem literackim; i drugiej: właśnie za to, że Andrzejewski umiał i chciał zauważyć nie tylko zalety lecz także wady, odradzając się nieuczciwość w młodym państwie cenę bardzo „Popiół i diament”. Bo przecież my, którzy nie widzieliśmy i nie przeżyliśmy tych czasów powinniśmy znać prawdę, a nie podmalowany, podretuszowany obraz; u innej: (...) najbardziej podobają mi się powieści psychologiczne, zaangażowane, mówiące o wewnętrznej walce człowieka, jego egzystencji w środowisku i otoczeniu. W ślad za tym postępują rozmaite „życiowe aktualizacje”: Przecież z gruntu dobry Pieniążek jest „pijącąca bożą”, których niestety nie wypilczymy, a dziennikarz Pawłowski karierowiczem, w stylu „gdzie wiatr powieje”.

Główny oręż analizy to... streszczenie, piękne i skrupulatne, dbające o kategorie przyuczynowo-skutkowe, eksponujące bohatera i jego biografię. A z bohaterem oddzielna sprawa.

Postać ujmują, w analogii do rzeczywistości, jako pełne indywidualne psychofizyczne (i znów „aktualizacje”), osobiste tym razem: jest mi bliski do tego stopnia, że czasem zastanawiam się — jak właśnie w takiej sytuacji postąpiłby Jim? — Czy byłby sobą, czy miotałby się w złości i obgryzał paznokcie; lub: (...) tak samo jak i on [Maciek z „Popiół i diamentu”] przeżywamy rozterki, zatamania, chwole niepewności i szczęścia; czy: właśnie nieuproszczona psychika Szucuki czyni go czytelnikowi bliskim i zrozumiałym. Bo w imię życiowego prawdopodobieństwa część panienek, znudzonych bezpośrednią moralistyką, gardzi bohaterem wzorcowym: Nie daje [Andrzejewski] wzoru bohatera na którym można byłoby wychowywać pokolenia; albo: Andrzejewski nie stwarza tutaj jakiegóż ogólnego wzoru godnego naśladowania. Przedstawiła bohatera takim, jakim go widzi w rzeczywistości i to jest chyba czymś bardzo ważnym w literaturze współczesnej. Bohater więc musi być trochę dobry i trochę zły (częsty wniosek): W ukazaniu człowieka nie idealizuje, nie pokazuje [Morciniek] osobowości całkiem dobrych i całkiem złych. To nie wyklucza przekonania o życiowej instruktywności literatury. Głos młodego Zukrowskiego do siebie przekonał, że w jego powieści znajduje naukę. Nie te moralizujące, wyczerpane z podręczni-

ków, która nuży, nawet jeśli jest naj mądrzejsza, ale tę „prawdę życiową”, wyluskana z szeregu faktów, zdarzeń, porównań ludzkich charakterów i związanych z nimi działaniami ludzi.

Często nie bawią się i w takie „subtelności”. W postaciach szukają wzoru osobowego, a w utworze źródła cnoty; sądzą, że właśnie Andrzejewski ze swoim utworem ma szansę, aby jego bohaterzy byli przykładem dla nas. U innej: To co do tej pory napisałam mówi, że wyszukuję w powieści [„Popiół i diament”] momentów dydaktycznych. A właściwie jako przedstawiciela młodych nie znoszę „moralistów”. Nieprawda. To też jest zrywanie. (Tu umie się gładko spostonować antybohatera — ostrzem „grzącej” ironii: Ten człowiek, syn narodu jęczącego pod jarzmem niewoli, myśli o tym by zbytnio nie utył).

Poszukiwania wiedzy, nauki i cnoty są rzeczą bardzo chwalebna same w sobie. Tylko, czy dziś należy je uprawiać w ten sposób, gdy chce się istotnie korzystać ze źródeł prozy... istotnie współczesnej?

Credo swe literackie wywiody dziewczyny — jasna sprawa — z (płytko ujętych) kanonów epiki przeszło-wiecznego realizmu i jej pozytywistycznych odmian „z tezą”. Gustom takowym staroświeckim opiera się we współczesnej prozie niemal wszystko we wszystkich zakresach! (wielokrotnie już o tym pisało; sam popełniłem rzecz o „antynarracji” — „Kamena” 1967, nr 2). To tak, jak by ktoś chciał starym pogrzebacem otworzyć skomplikowany zamek kasy pancernej!

Z pola widzenia panienek znika więc proza umowna, kreacyjna, np. groteska (żadne wielbielce Mroka, Szaniawskiego, Zielińskiego...), bo brak w tej prozie „życiowego prawdopodobieństwa” ukazanych faktów. Umykają wszelkie odległe — paraboliczne — sensy fikcji powieściowej; „Dżuma” byłaby tu tylko opisem zarazy w Oranie (wbrew motto: „Jest rzeczą równie rozsądną ukazać jakiś rodzaj uwięzienia przez inny, jak ukazać coś, co istnieje rzeczywiście, przez coś innego, co nie istnieje”). „Disneyland” staje się... pochwałą roli wychowawczej sportu (bo ja też trenowałam i znam te przeżycia) i powiastka, rzecz jasna, o miłości! Zapędzona w szlachetnym poszukiwaniu wzorców osobowych panienka defini tywnie płacze się w „kwalifikacji” Dygatowego bohatera: Bohater [Marek] z pewnością godny naśladowania; u tej samej; z pewnością nie jest to [Marek] bohater pozytywny. Ani śladu rozumienia koncepcji współczesnego bohatera, problemu podejmowanych „ról”, dezintegracji osobowości itd., bo kategorie: dobry, zły (trochę dobry, trochę zły) są tu, oczywiście, nieprzydatne. Postać — znak problemowy traktują dziewczęta jako pełne indywidualne psychofizyczne: może pomóc [postać Pawła z „Sennika współczesnego”] w codziennym życiu poprzez to, że wzbudza ona pragnienie zrozumienia najbliższych osób, uczy też pewnej delikatności w postępowaniu z ludźmi. Uśmieliby się Dygat i Konwicki!

Dla panienek wszystko jasne. Tu przyczyna, tam skutek. Tu dobro, tam zło. Tymczasem pisarz nie chce dziś nikogo pouczać, nie daje gotowych rozwiązań, stawia tylko pytania. Rozpadła się jednoznaczna i spoiasta wizja rzeczywistości. Świadomy czytelnik nie jest już biernym konsumentem fabuły, którego trzeba oświecić i zabawić, lecz jest aktywnym uczestnikiem przygody duchowej, podejmującym trud własnej interpretacji problemów przez autora zasugerowanych. Zaś bezpośrednio funkcje poznawcze ceduje współczesna literatura na wszelakiego rodzaju reportaż, a popularyzując wzorców osobowych na seryjne filmy w telewizji.

Tu parę koniecznych zastrzeżeń. Nie chcę, aby „nasza młodzież” gorszyła się „nowoczesnymi fanaberiami” — już słyszę, jak mi coś odwrotnego zarzucają panie w uniformach szkolnych polonistek. Nie chcę, by przyjmowała za swoje własne — ideologie sprzeczne z doświadczeniem społecznym naszego kraju. Nie twierdzę bowiem, że proza współczesna jest zawsze akademią wszelkich sciencyjną pełną. Nie żądam, by 18—19-letnia panienka stała się nagle wytrawnym badaczem powieści XX wieku i znawcą

współczesnych kierunków filozoficznych (od fenomenologii przez egzystencjalizm, neopozytywizm do marksizmu włącznie).

Chodzi tylko o konieczność podstawowej orientacji; a nade wszystko o wyrobienie adekwatnej wobec współczesnego utworu postawy — by nie szukać tego, czego w nim brak, lub co pełni rolę uboczną.

Prawd o człowieku (nie zawsze krzepiących), doświadczeń, z jakich wyrosły i jakie niosą najcenniejsze dzieła prozy XX wieku, nie da się dziś ominąć, jeśli chce się czynić sensowne próby zrozumienia naszego świata, coraz bardziej, niestety, złożonego i trudnego. Na tej glebie zasiane ziarno zwątpienia może owocować — pod okiem uczciwego pedagoga — w postawę późniejszych samodzielnich poszukiwań i wiary w sensa rozumnego kształtowania siebie i rzeczywistości. W procesie wychowania socjalistycznego trzeba o tym pamiętać. I choć „wychowawczości” dzieł współczesnych nie można realizować tak prosto jak w wypadku utworów dawnych, to można ją realizować pośrednio, np. przez racjonalizację historycznych warunków, które wydały określoną wizję świata (także pesymistyczną). Rezerwy staroświeckich gustów są na tej drodze tylko zawadą.

Wiem, że istnieją sprawy ważniejsze niż znajomość literatury współczesnej — można jeszcze być porządnym człowiekiem i obywatelem (dobrą żoną i matką), a kontentować się wyłącznie Sienkiewiczem, Prusem i Orzeszkową. Lecz jest to rozumowanie typu: „grunt, abyśmy zdrowi byli” — na dalszą metę szkodliwe. Zresztą szkodliwe chyba i teraz. Ciekawe, co jeszcze dziś wymyślimy, aby usprawiedliwić młodzież w tym zakresie, kiedy pewne zjawiska „nowej” prozy padły już lupem trzeciorzędnych autorów, stały się składnikiem konwencji, kiedy oczekujemy od współczesnej powieści wyjścia z kryzysu — a młódź znajduje się jeszcze na etapie „prapoprzednim”?

W wymiarze całego społeczeństwa szeroka popularność modelu epiki realistycznej jest — na razie — zjawiskiem pozytywnym (statystykę „robi” tu „nowy” czytelnik, który dopiero od tego miesiąca może zacząć korzystać z kultury). Wszelako inne wymagania musimy od początku stawiać ludziom, którzy kulturę tę będą w przyszłości tworzyć, jeśli chcemy uchronić nasze społeczeństwo od kulturalnego partykularyzmu i zaścianowości.

Osobną sprawą są przyczyny opisanej sytuacji. Kto winien? Przeważnie obarcza się tu szkołę. Zaniedbania problematyki artystycznej — od problemu „inaczej zrobione” łatwo przejść do kwestii „inny ma sens”, trzeba więc omawiać z uczniami nowoczesne sposoby narracji przełamującej tradycyjny przyczynowo-skutkowy układ zdarzeń, podkreślać umowność sztuki, trzeba wykorzystywać takie zalecenia programu — sprzed reformy — jak: „informacja o Camusie, Mannie”, egzegzować lektury „do wyboru”: „Dżuma”, „Nocny lot”. Ale i krytyka ma tutaj konto obciążone (gdzie rozumna popularyzacja?). To są zresztą odrębne kwestie, do których może wrócić.

Cały czas szło mi o wypadki typowe. W tym przekroju rzeczywista orientacja panienek w sprawach powieści współczesnej zbliża się do cyfry bardzo okrągłej i bardzo okrągłą dziurą w środku! I jakie smętne rokowania dla młodzi o skłonnościach niepolonistycznych!

Dziwię się tej staroświeckości gustów. Brak mi tu poszukiwań „nowinek”, poszukiwań „w przód”, co było cechą mojej młodości. Ale może są to tylko zrzedzenia 30-letniego pana, a więc — dla panienek — absolutnie zgrzeszonego starca? O własnej „smudze cienia” zaczynam myśleć, kiedy czytam te swojej wielką artykulę. Jedyna rada — wyhodować baki i w oczekiwaniu na „drugą młodość” skraćć sobie czas lekturą dzieł panów Henryka i Bolesława oraz pani Elży.

Maciej Podgóski

Kamena str. 5

obóz będzie żył z tego transportu: zjadał jego szynki i kiełbasy, konfitury i owoce, pił jego wódki i likiery, będzie chodził w jego białym, handlował jego złotem i tłu-mokami. Wiele wyniosła cywile do obóz, na Śląsk, do Krakowa i dalej. Przywożą papierosy, jajka, wódkę i listy z domu. Parę dni będzie obóz mówił o transporcie „Sosnowiec — Będzin”. Był to dobry, bogaty transport.

Zarzucono Borowskiemu indyferentyzm moralny jego postaci i narratorów, nie uwzględniając tego, że żadna inna koncepcja usprawiedliwiająca nie mogłaby z równą bezwzględnością ukazać sytuacji nie zostawiającej ludziom żadnej szansy ani możliwości wyboru w jakimkolwiek systemie wartości. Sam mechanizm jest równie nieludzki jak nieludzy stają się wprzęgnięci weń ludzie. Nie oni też bezpośrednio ponoszą odpowiedzialność, ale właśnie ów bezosobowy, gigantyczny rozmiar przy-bierający system, który domagał się stale nowych ofiar.

Orestes: Pomyśl, gdybym spróbował wziąć na siebie wszystkie zbrodnie tych ludzi, którzy teraz w ciemnych pokojach dręczą się pośród swoich ukochanych zmarłych. Pomyśl, gdybym chciał zastąpić na miano „złodzieja wyrzutek sumienia” i wziąć na siebie wszystkie ich pokuty. (...) Powiedz, gdy weźmie na siebie wyrzuty sumienia, których jest więcej niż much w tym świecie, wszystkie wyrzuty sumienia całego miasta, czy wtedy nie zdobędzie prawa obywatelstwa wśród was? Czy wtedy w tych wszystkich krwawych murach nie poczujecie się wreszcie u siebie, jak rzeknie cięże się u siebie w jacie, wśród powiartowanego przed chwilą wola.

W kamiennym świecie Borowskiego „wyrzuty sumienia” pozostają tylko pojęciem. To właśnie owa zwięzłość, oszczędność, suchy tok relacji przystają najlepiej do okrutnego obrazu ludzkiej wolności. Ani śladu sentymentu, nawet w wyzyskujących „efekt obcości” (jak go nazywa Wirth) zestawieniach z przyrodą: Dalej uśpił się po sto-

ku wzgórze młody, świerkowy las. Za lasem leżał nasz mały, niedawno założony obóz, w którym w przeciągu dwu miesięcy umarło trzy tysiące ludzi. Od lasu kładł się biały pas drogi, niknął we uści i wpytywał wraz ze śliwami. (Śmierć powstańca). To jedno zdanie wystarcza, aby zademonstrować zasadę stylistycznego kształtu wypowiedzi u Borowskiego czy u jego późniejszych naśladowców. Zresztą szczegółowa analiza, dookreślając tę metodę, nie dorzuci mi więcej do generalnej tezy.

Uderza wszelako inna sprawa. Oto na tle katastroficznych prognoz pisarzy przedwojennych, na tle doświadczeń, którym dała wyraz proza Borowskiego nie cofając się przed okrucieństwem i wiernością dokumentu, ona to właśnie podsuwa możliwość wyjścia. Jest nie tylko oskarżeniem, nie tylko dokumentem. Jeśli przyjąć, że ostatecznym celem literatury jest ocalenie wiary w człowieka, to proza Borowskiego ten cel osiąga. Więcej — wydaje się, że owo przeświadczenie — w różnym stopniu i z różną siłą argumentacji — przekazują także inne książki polskich pisarzy. Tu odnajdujemy ów szczególny aspekt wolności: ocalenie człowieka, kiedy jego wolność zaczyna służyć innym, niezależnie od tego jaką cenę za ową świadomość zapłacić nam przyszło. To przecież Borowski napisał: Teraz dopiero poznałem cenę starożytności (...) Ta starożytność, która była olbrzymim koncentracyjnym obozem, gdzie niewolnikowi wypalano znak własności na czole i krzyżowano za ucieczką. (...) To myśmy budować piramidy, rwać marmur na świątynie i kamienie na drogi imperialne, to myśmy wioślować na galerach i ciągnąć sochy. (...) Myśmy byli brudni i umierali naprawdę. Oni byli estetyczni i dyskutowali na niby.

Nie ma piękna, jeśli w nim leży krzywdą człowieka. Nie ma prawdy, która te krzywdę pomija. Nie ma dobra, które na nią pozwala.

# Nuda? A dlaczego?

Romuald Wiśniewski

STNIEJA dwa rodzaje pisarzy: jedni rozwijają swój talent stopniowo, w mozolnym trudzie dążą do osiągnięcia, na które nieraz przychodzi czekać długimi latami. Zdarza się, że tych osiągnięć debiut wcale nie zapowiadał. Drugi już w pierwszej książce daje całą skalę możliwości, ukazując zarys pełni. Bywa, że pierwsze dzieło pozostaje nigdy nie-  
doścignione, co graniczy niekiedy z pisarską tragedią. Są tego przy-  
kłady.

„Tworzenie ptaków” Marii Ballod zapowiada osobowość pisarską pierwszego rodzaju. Wydaje się nawet, że autorka nie skorzystała ze wszystkich praw debiutu, więcej, odnosi się wrażeń, jak by pewne cechy debiutu chciała pozostawić. Za jedno z tych praw można uznać prawo do błędów, pomyłek, do ryzyka. Prawo do manifestacji swoich możliwości, po prostu tego, kim się jest. W „Tworzeniu ptaków” nie znajdujemy sprzeciwu wobec zastanych konwencji poetyckich, wyrażających się w modelu różniczkowego wiersza, ale poddanie im się bez oporu. A opór taki, przewyżnienie tego, co stało się stereotypem i automatyzmem, jest warunkiem rozwoju poety.

Poddanie się obiegowym schematom poetyckim pozbawiło wiersze Marii Ballod świeżości i znamion indywidualnych. Skutki tego są zresztą dalsze. W przyjętym modelu wiersza rygor, który przecież istnieje, są zapoznawane, utwór rozpada się na fragmenty i wery, traci spójność i wewnętrzną konieczność następstwa. Dlatego tak trudno, mimo nawet wielokrotnej lektury, uchwycić znaczenie wiersza, sprecyzować ich semantykę. To chyba także skutek mechanicznego stosowania „czechowiczowskiego” zapisu wiersza. Słusznie o dobre odrealnienie obrazu, ale przecież nie w każdym wierszu o to chodzi. A funkcjonalność jest najważniejszym kryterium przy wyborze środków wyrazu. Czas już chyba odrzucić złudzenie, iż usunięcie interpunkcji otwiera drogę żywiołowi poetyckiemu. Przeciwnie, sądząc, że jej przywrócenie odbuduje tak zaniedbaną w młodej liryce składnię poetycką, pozwoli nadać obrazowi poetyckiemu wysoki stopień precyzji i ostrości.

Byłoby jednak niesprawiedliwością, gdyby o „Tworzeniu ptaków” powiedziano tylko tyle. Znajdują się bowiem w tym tomie wiersze, które stanowią podstawę do przyszłych poszukiwań i osiągnięć. Większość z nich znajdowała się już w „Almanachu poetyckim” Lubelskiego Klubu Literackiego i wiersze te znalazły się w zbiorze obecnym, co by świadczyło, iż na nich także chce M. Ballod budować coś w przyszłości. Ta grupa utworów wywodzi się z dwóch źródeł: z doświadczeń osobistych i mitologii. Mitologia jest dla autorki nie maską, ale sposobem obiektywizacji. Dzięki temu przeżycie osobiste zostaje pozbawione egotyzymu, a otrzymuje wymiar ogólnoludzki. Utwory, gdzie wątek liryczny spłata się z sytuacją mitologiczną, są najpełniejsze, najlepiej obrysowane i o dużej ekspresji.

Posiadają te wiersze jeszcze jedną zaletę: ostrość i wyrazistość płaskorzeźby. Oto początek wiersza „Płaskorzeźba”.  
Nadzieją skuta Penelopa | omija wzrokiem powrót statków | wiozących sławę | albo złoto | tylko z zapachów obcych krajin | układa nieznamy kontur | najmniej uchwytny z darów morza. Daje wierszom ten rodzaj plastyki zakrój monumentalny, jeśli przy liryce termin ten ma jakikolwiek sens. Stąd też wrażeń dużej ascezy tych wierszy, która obniża przedmiot w ubóstwo i chłodne stylizatorstwo. A z taką możliwością zawsze się można liczyć.

A wnioski? Dobrze rady w poezji nie zdają się na wiele, toteż nie ma sensu ich udzielać. Zazwyczaj zresztą czyni się w ten sposób, że twórczość bujną radzi się ujarzmić i poskramiać, zaś poezję oschłą i oszczędną namawia się do żywiołowości. A zapomina się, że poezja jest po prostu wyrazem uzdolnień, które trzeba rozwijać, a nie sprzeciwiać się im. Jeśli jednak chodzi o wiersze Marii Ballod, to można by wymagać od nich odważniejszych poszukiwań i przewyżnienia stanu, w jakim liryka ta się znajduje.

Tadeusz Klak

Maria Ballod: Tworzenie ptaków. Lublin 1967. Wyd. Lubelskie

Zbigniew Strzałkowski

## Grecja 1968

Wchodzę na błękitne wzgórze gdzie Zeus pieścił biodra ziemi  
— samotny stoję na skale.  
Oglądam pejzaż niewoli.

Szczerzali łąki — pasterzom odebrano nutę najkłębszej melodii.  
Jakiż to zły cień snuje się w gruzach Parthenonu  
— okrakiem siada na stolicy kark  
i dławiąc jej oddach wyzwała anioła śmierci.

Spłoszony orzeł ucieka w głąb nieba.  
Czarne kobiety żują gorzkie słowa  
— ich szmer niesie fala zmięczenia  
na wyspę wpełza przeczyna druty  
wychodzą ludzie zniszczeni.  
Czują powiew ojczyzny górskiej.  
Dłonie na wszystkie wyspy unoszą  
i nucą pieśń starych Greków o drodze pachnącej oliwkami  
którą przebiega kobieta i mężczyzna nim nie upadną  
dojrzała koldrę lata — miłość spętała ramiona.

Spod długiego cienia kolumn patrzę na orla w pion uciekającego.  
Cisza żalobna huczy w skalach miasta.  
Jest coś przerażającego w bezradnych dłoniach starca  
z którym ulicę idziemy  
i chociaż siedzę w pokoju mojej ojczyzny —  
twarz Zorby mi towarzyszy okryta mgłą czerni.

Lublin

Marek Żenni

Jestem przy wędrowną strzelnicę skąd milicjanci  
dumnie odchodzą, trzymając kwiaty z czerwono  
żółtych piór i mały chłopiec stoi z ustami  
zdumionego motyla i gra patefon za rampą światła.  
Z korytarza nocy tym lepiej oglądam trzepot liści  
i nogi dziewczyn.

Jestem przy rzece, gdzie latarnia rozlewa się i płynie  
pod prąd.

I jestem w dzień: przyjmuję niedzielą defiladę uśmiechów  
i patrzę w twarze, zanim umrą  
i na zwierzęta, zanim rozsypią na polach ostre czaszki  
i dzieci, zanim się zgorbią.  
Słucham, zanim przepadnie głos.

Krańnik

Andrzej Sawicki

## III

Jeszcze się plawię pośrodku  
złotego stawu lata  
na brzegu opalony chłopiec  
wróży na listkach akacji  
co będzie

wóz wysoki wodą jedzie  
pszenicy pełen i miodu  
kąkolki malin poziomek  
zapachu  
ani koni zatrzymać  
ani tozu mi sięgnąć  
ślady tylko na wodzie  
utrulałam

a potem niech sobie zima  
zaciska lodowe obręcze  
czerwone kropki gorąca  
spływają z serca  
na śnieg  
jak wiersze  
zakrzepną

Kraków

Stanisław Matys

co się stało z moim lasem  
drzwi otworzcie  
a to pukaj  
z tamtej strony  
a to pukaj  
w ścianę soany  
gdy dziecięcy odleciały  
proszę zwrócić moje drzewa  
a to szukaj  
aż do rdzenia  
w każdym słoju  
drzwi otworzcie  
topór niosę  
wlicze moje miłowanie

Białystok

Władysław Makomaski

Aktywiści krązą zaferowani  
falowanie krzątający.  
Na uboczu  
prelegent przygląda się słowom.  
Salę obsiadła publiczność  
próżnia wyczekiwania.  
Za stołu  
podnosi się mężczyzna  
Ostieram

Warszawa

na postumencie. Rzeźbiarzowi po-  
zowała żona burmistrza Biela. Do  
dziś w mowie potocznej pomnik na-  
zywany jest od nazwiska modelki.

Pod Bielową spotykamy trzy  
dziewczyny. Marian je zna, jesie-  
nią zdawały u jego żony maturę.

— Dziewczynki, co robicie?  
— Idziemy na drugą zmianę do  
„Kryształowej”.

— Świetnie, postawię wam wód-  
kę.

— Pan zdaje się postawił już spo-  
ro sobie — śmieją się, ale zgadzają  
się na naszę towarzysztwo. Uroczy  
jest taki wieczorny spacer po Os-  
trowcu. Dzieci do Dolnej Połaci.  
Miasto dzieli się bowiem na Górą  
Połac, obejmującą otoczenie Placu  
Wolności, oraz nowoczesne osiedle  
przy ul. Sienkiewicza, mieszkanie,  
w którym stanowią marzenie każ-  
dego ostrowianina oraz na Dolną  
Połac, ciągnącą się wzdłuż al. 1  
Maja, aż do huty. Z Górnej do Dol-  
nej schodzi się ulicą Przykościelną,  
ulicą dziwną, bez jezdnii, opadającą  
schodkami w dół, wąską niczym  
stare zaułki Sarajewa, pełną prze-  
chadzającej się młodzieży... Typowe  
corso, tyle że pozbawione choćby  
jednego baru kawowego. Dziwny  
jest w ogóle sam Ostrowiec. 45 ty-  
sięcy mieszkańców, wielki przemysł,  
nowoczesne wieżowce i dwupiętro-  
we domy mieszkalne przy głównych  
ulicach, las kominów fabrycznych  
i malomiasteczkowa atmosfera.  
Prywatne sklepiki w śródmieściu  
sprzedające szklane paciorki, brzo-  
ski i tasemki — i „Kryształowa”,  
wytworna kawiarnia, szkło i alu-  
minium, obszerne halle, szerokie  
schody, podesty, balkony, werandy  
— co za rozrzućność w metrażu.

Siedzimy więc na pięterku „Kry-  
ształowej” z tym dziewczynami (jak  
czytelnik zapewne zauważył, w so-  
lidnym reportażu dziennikarowski  
towarzyszka zazwyczaj miejscowe  
piękności, a zatem autor niniejsze-  
go itd.), popijamy kawkę i nie ty-  
ko.

— Jezu, jak by tak psorka mogła  
przewidzieć, że będą się zalewała  
za pana pieniądze, to jak drut sie-  
działabym teraz drugi rok w jed-  
nastaj klasie — mówi Marianowi  
Jolka.

— Nie jest tak źle — pociesza ją  
i siebie Ewa. — Przedwczoraj  
wieczorem byłam na kawie z jed-  
nym gościem, co miał 45 lat. W  
domu jak się stary dowiedział, zła-  
pał za pas, ale wytłumaczyłam, że  
to był ojciec mojej koleżanki. Zre-  
szta co tam, jestem pełnoletnia,  
nie mogę pić kawy z kim chcę?  
Ten gość to był inżynier na delega-  
cji. Przywoity facet, elegancki,  
inteligentny. Potanńczyliśmy trochę,  
pokazywał mi zdjęcia swojej żony,  
a o jedenastej wieczorem odprowa-  
dził do domu. Nawet nie próbował  
całowanek. Jak bym poszła z Jur-  
kiem — to jeden taki technik, do-  
piero co po wojsku — to by mnie  
do drugiego w nocy odprowadzał w  
tę i tamtą stronę i nie wiedział  
sam, czego chce.

— Ja uważam, że młodzież ma  
prawo do jakiegś rozrywki. Tylko  
że u nas w Ostrowcu nie ma takich  
możliwości. Prawda? Marian mówi,  
że pan jest redaktorem. Proszę więc  
powiedzieć, czy można u nas spę-  
dzić przyjemnie czas? — zwraca  
się do mnie Jolka.

Cóż mam odpowiedzieć? Maria  
Paschalska pisze w „Życiu Warsza-  
wy”, że są tysiące książek, które  
można przeczytać, tysiące miejscow-  
ości, które można zwiedzić, tysią-  
ce hobby, którymi można się zająć,  
są kursy języków obcych, kółka mi-  
łośników filmu, teatru, muzyki,  
plastyki, są interesujące odczyty,  
audycje radiowe i telewizyjne, moż-  
na się uczyć, zacząć studiować —  
są tysiące możliwości interesujące-  
go spędzenia czasu, lecz żeby któ-  
rąkolwiek z nich wykorzystać, trze-  
ba mieć odrobnie inicjatywy włas-  
nej, zainteresowania życiem, tym,  
co się wokół nas dzieje. Człowiek  
bez żadnych zainteresowań będzie  
się nudził i w centrum wielkiej  
metropolii. Człowiek z zaintereso-  
waniami potrafi wypełnić sobie po-  
żytecznie czas nawet gdyby miesz-  
kał w zabitej deskami wiosce; bę-  
dzie się starał stworzyć sobie i  
swemu otoczeniu takie możliwości.

Zbierając przez kilka dni ma-  
teriały do reportażu o Ostrowcu (bo  
RSW „Prasa” pokrywa koszty wy-  
jazdów służbowych mając na uwa-  
dze głównie inne cele, niż przesia-  
dywanie przez reporterów nad kie-  
liśkami) poznałem przynajmniej z  
grubsza, jakie szanse wyżyła się  
kulturalnego mają mieszkańcy tego  
miasta. W samej tylko hucie Os-  
trowiec istnieje: 120-osobowy ze-  
spół pieśni i tańca, orkiestra dęta,  
orkiestra smyczkowa i teatr ama-  
torski. Występują u siebie, wystę-  
pują w sąsiednich miejscowościach,

utrzymują stałą wymianę z Kraśni-  
kiem Fabrycznym, Stalową Wolą i  
Starachowicami, mają kontakty kul-  
turalne z hutnikami z NRD. Liczne  
amatorskie grupy artystyczne ist-  
nieją w zakładach pracy i w szko-  
łach. Niedawno za zgodą wszyst-  
kich zainteresowanych, ustalono  
specjalizację tematyczną. W PKG  
działać będzie estrada amatorska,  
w Ostrowieckich Zakładach Ma-  
teriałów Ogniotrwałych — balet, w  
Ostr. Przeds. Budownictwa Prze-  
mysłowego — zespół pieśni i tańca  
regionu świętokrzyskiego, w Liceum  
Wychowawczyń Przedszkoli — ze-  
spół pieśni i tańca wojskowego, w  
liceum Stalica — zespół drama-  
tyczny, w Technikum Ekonomicz-  
nym — teatr poezji. Do zespołów  
tych można zapisywać się bez  
względu na to, kto gdzie pracuje,  
czy uczy się.

Nie jest więc tak nudno w tym  
Ostrowcu, jeśli ma się ochotę robić  
cokolwiek pożytecznego. W bibliote-  
ce czekają na czytelników tysiące  
tomów. W dawnym pałacu Wielo-  
polskich, położonym w starym par-  
ku, uruchomiono w grudniu 1968 r.  
muzeum regionalne. Urządząją ciek-  
awe wystawy; gdy pokazywano  
arrasy, w każdej sali stał na straży  
milijant. W muzeum organizowane  
są często koncerty; o dziwo, naj-  
większym powodzeniem cieszą się  
programy symfoniczne. Od jedena-  
stu lat działa w mieście Święto-  
krzyskie Towarzystwo Fotograficz-  
ne (prezjuje inż. Stanisław Sud-  
nik), od roku — Towarzystwo Mi-  
łośników Ostrowca (prezjuje dyr.  
Eugeniusz Chmielewski), od dwu-  
nastu lat — Towarzystwo Astrono-  
miczne. Astronomowie zorganizowa-  
wali liczne kółka zainteresowań w  
szkolach i zakładach pracy, utrzy-  
mują rozległe stosunki z podobnymi  
towarzystwami w innych krajach,  
w najbliższym czasie otrzymają  
własne obserwatorium. Inwestycja  
ta sfinansowana będzie — jak mó-  
wiła mi pani Zofia Rejowa, piastu-  
jąca od niedawna stanowisko kie-  
rownika Wydziału Kultury Prez.  
MRN (nawiasem mówiąc, stanowis-  
ko od niepamięci corocznie niemal  
zajmowane przez kogo innego) —  
z miejskiego funduszu rozwoju kul-  
tury, gromadzonego niezależnie od  
funduszu wojewódzkiego.

Czy miałem to wszystko wyjaś-  
niać Irce, dziewczynie ze świadc-  
stwem dojrzałości w kieszeni, mieszk-  
jącej w Ostrowcu od urodzenia,  
znającej to miasto lepiej ode mnie?  
Co jej poradzić, żeby się nie nu-  
dziła? Zresztą byłam znudzona calo-  
dzienną pracą, poza tym przyszli-  
my do „Kryształowej” na dancing.  
a nie w celu wygłoszenia prelekcji.  
— Nie marudź, chodź potanńczyć  
— powiedziałam (przeszliśmy już  
bowiem na „ty”, co jak czytelnik  
zapewne wie powinno być kolejną  
fazą rozwoju przygód reportera, a  
zatem i ja itd.).

— No dobrze, chodź potanńczyć.  
Tu nawet potanńczyć nie ma gdzie.  
Gdybyśmy przyszl pół podiny póź-  
niej, nie dostalibyśmy stolika.  
Knapa w rynku to buda. Gdzie byś  
zaprowadził na tupań? Czyba nie  
do ZDK?

Do ZDK przewyżacie bym nie za-  
prowadził. Pierwszego wieczora, a  
była to sobota, obejrzałem sobie  
Zakładowy Dom Kultury Huty Os-  
trowiec Świętokrzyski, jedyny tego  
rodzaju obiekt w mieście. Budynek  
jest imponujący, trzypiętrowy, z  
tym, że na parterze mieści się kino  
zakładowe, a drugie piętro zajmuje  
KM PZPR. W sobotę wieczorem w  
świetlicy na III piętrze odbywał  
się wieczorek taneczny, z biletami  
po 5 zł dla członków klubu i po  
10 zł dla obcych. W wielkiej sali  
rzędną orkiestrę big-beatowa, tań-  
czyło ze 150 par. Właściwie trudno  
to było nazwać tańcami. Każda pa-  
ra zachowywała się inaczej, jedni  
podskakiwali, inni kręcili w kółko,  
inni przytuleni do swych partnerek  
niemal nie ruszali się z miejsca,  
a jeszcze inni szarpali je za wycią-  
gnięte ręce niczym w bijatyce. Była  
to zabawa młodzieży, która lubi się  
bawić, ale nie umie. I była to za-  
bawa pozwalająca może wyhasać  
się, lecz nie ucząca. Jak należy się  
dobrze bawić. Potrzebne są takie  
tańcuchy dla młodzieży, bardzo  
potrzebne. Czy jednak nie przyda-  
łoby się i urządzanie w nich lekcji  
tańca towarzyskiego? Czy oprawa  
wieczorku nie powinna być lepsza,  
niż pozostawane pod ścianą krzesła?  
Czy nikt nie powinien zwracać u-  
wagi 16-latkom emigracji na takim  
wieczorku papierosa za papierosem?  
I czy w ogóle dla takiej młodzieży,  
właściwie jeszcze dzieci, nie nale-  
żałoby robić tych tańców wcześniej,  
po południu, a nie wieczorem?

Na drugi dzień rano, w niedzielę,  
w ZDK zespół pieśni i tańca wysta-  
wiał bajkę dla dzieci. Po południu

„zedek” był zamknięty na cztery spusty. Młodzież ostrowska ma jednak miejsce do kontaktów towarzyskich. Jest nim poczekalnia w drzwiach pocztowego, czynnego i w dniu świątecznym. Poczekalnia bardzo duża, z ławkami do siedzenia. Frontem poczty wygląda reprezentacyjnie, ozdobiony jest potężną kolumnadą. Lecz dlaczego młodzież ma w niedzielę obijać się po poczekalni, zamiast siedzieć w świetlicy ZDK?

O tym wszystkim rozmawiałem w KM PZPR Sekretarz Komitetu, Jan Klimek, przyznawał, że potrzeby kulturalne mieszkańców nie są jeszcze należycie zaspokajane. Baza materialna i lokalowa jest nie najlepsza. Duże świetlice znajdują się w PKS, w Zakładach Przemysłu Odzieżowego, w OSMO, w dzielnicy Kutnia. Rozkręca się działalność klubu inżynierów i techników budownictwa i klubu inżynierów i techników hutnictwa. Jednak żadna z tych placówek nie ma jeszcze naprawdę atrakcyjnego programu, który by zapewnił jej pełną frekwencję. Nie wszystkim poza tym wystarczają już te świetlicowe stoliki i krzesła. Ludzie, którzy mają przytulnie urządzone mieszkania, miękkie fotele, barwne reprodukcje na ścianach, nie będą mieli chęci przesiadywać w świetlicach zle ogrzewanych, o gołych ścianach, twardych krzesłach, bez możliwości wypicia tam filiżanki kawy. Zle pracuje klub młodzieżowy. Jedyną placówką naprawdę atrakcyjną jest klub „Primo” w osiedlu sienkiewickim, kierowany przez pana Furbisza. Natomiast ZDK nie spełnia należycie swej roli. Zresztą huta, która utrzymuje przecież tę placówkę, interesuje się nią niedostatecznie, mniej np. niż swoim klubem sportowym. Niedawno odbyło się plenum KM PZPR poświęcone sprawom kultury. Wszyscy uczestnicy dyskusji stwierdzili, że powstała dysproporcja pomiędzy rozwojem gospodarczym miasta a rozwojem kulturalnym. No, ale żeby nie było tu co robić w chwilach wolnych, to już przesada.

Taniec skończył się. Z Irką dyskutować nie było sensu, ledwo trzymała się na nogach. Tamte dwie były w lepszej formie.

— No, zamówię jeszcze coś do picia, bo zaraz zamykają lokal — zażądała Ewa.

Wyszliśmy na świeże, mroźne powietrze. Dziewczyny spotkały w szatni młodego człowieka, który przedstawił się nam jako brat Irki i odwiózł takową siostrę do domu. Jolka i Ewa, mimo naszych propozycji pójścia na spacer, pożegnały nas i pojechały z tamtą parą (jak czytelnik zapewne zauważył, reporter, który na obcym terenie odnosi duże sukcesy towarzyskie, nie budzi dużej sympatii; lepiej wygląda jego relacja jeśli został w końcu na lodzie, a zatem ja itd.). Marian odpowiedział mnie do hotelu i tłumaczył ochryplym głosem:

— To przeze mnie. Namówiłem cię i tylkośmy niepotrzebnie szarpnęli się z forsą. A jeszcze jak się żona dowie — mogiła! No powiedz, czy ja nie jestem głupi? Zamiast nudzić się w „Kryształowej” mogłem zaprosić cię do siebie. Dziś na kolację były bliny — nie masz pojęcia, jak ona umie je robić. Albo mogłem wziąć wóz i pojechałbyśmy na Święty Krzyż. Naprawdę szkoda. Znasz okolice Ostrowca? Od nas tylko pół godziny jazdy do serca Gór Świętokrzyskich.

I zaśpiewaliśmy razem „Góralu, czy ci nie żal”.

**W** ROKU 1833 młody nowojorski drukarz, Benjamin Day, wpadł na tyle prosty, co skuteczny pomysł obniżenia ceny każdego egzemplarza wydawanego przez siebie pisma do jednego centa. Pomysł chwycił, konkurencja pana Daya, oferująca swoje gazety po sześć centów za egzemplarz, szybko poszła z torbami, albo przestawili się na jego system, a on sam odbił sobie stratę zwiększonym nakładem. W ten sposób zrodziła się tania, wielkonakładowa prasa — pierwszy symptom złożonego zjawiska, które po latach zostało określone mianem kultury masowej i stało się jednym z zasadniczych problemów naszej doby.

W wieku XX rozwój nie tylko prasy, ale i takich środków masowego przekazywania informacji jak radio, film, telewizja, reprodukcje dzieł sztuki i płyty z nagraniami muzycznymi, doprowadził do tego, że dotychczasowa forma naszych kontaktów ze światem uległa dość istotnej zmianie. Dobrze ją określa socjolog francuski Edgar Morin, pisząc w książce „Duch czasów” w sposób następujący: [...]

„...w wielkim ciele naszej planety powstaje cudowny system nerwowy: z telegrafów, maszyn drukarskich, błon filmowych, taśm magnetofonowych, anten radia i telewizji wylatują roje słów i obrazów; wszystko to, co jeździ na kołach, pływa, lata w powietrzu, przewozi dzienniki i tygodniki; nie ma takiej cząstki powietrza, która by nie kierowała ku ludziom przesłania, które dzięki takiemu czy innemu urządzeniu, za jednym ruchem ręki, staje się natychmiast słyszalne i widzialne.

Czym jest współczesna kultura masowa — zjawisko, w którym jedni widzą wielką zdobycz naszych czasów i słuszny powód do dumy, a drudzy lekają się panicznie jego następstw? Natrafiamy tu na kłopot zbliżony do tego, który pragnął rozwikłać grecki filozof, Ebulides, chcąc określić, czym jest lysina. Rzeczywiście, podobnie jak utrata jednego, dwóch czy nawet sporej liczby włosów nie czyni człowieka lysym, podobnie rozszerzenie audytorium odbiorców treści kulturalnych o jedną, dwie czy nawet pewną liczbę osób jeszcze nie czyni tych treści masowymi. Kultura masowa — domyślamy się słusznie — to kultura wielkich audytorów odbiorców, kultura współkształtowana przy pomocy nowoczesnych i wysoko wydajnych środków przekazywania informacji, ale gdy przyjdzie nam określić, o jak wielkie i dlaczego właśnie takie audytorium nam chodzi, właśnie opuszczamy bezradnie ręce. By choć w części na postawione pytanie odpowiedzieć, nieodzowne się staje wprowadzenie pojęć zasięgu i gęstości przekazywanych treści. Całą sprawę najlepiej uaoacznii przykładem.

Niedzielną wydanie dziennika, rozchodzące się w nakładzie 500 tys. egzemplarzy na terenie całego kraju, posiada niewątpliwie wielki zasięg oddziaływania. Zasięg ten jest jeszcze większy, niż w wypadku niedzielnej wydania gazety regionalnej drukowanej w nakładzie 250 tys. egzemplarzy i rozprowadzanej na obszarze jednego tylko województwa. Gdy jednak przy pomocy prostego rachunku stwierdzimy, że jeden egzemplarz gazety ogólnokrajowej (ok. 30 mln mieszkańców) przypada na 60 potencjalnych czytelników, a jeden egzemplarz gazety regionalnej (ok. 2 mln mieszkańców) na 4 potencjalnych czytelników, będziemy już bardziej ostrożni w przypisywaniu gacecie centralnej miana masowej, i w

odmawianiu tego samego miana gazetce wojewódzkiej. Ta druga, mimo mniejszego o połowę nakładu, osiąga przecież bardziej zróżnicowany krąg potrzeb społecznych. Skoro jeden jej egzemplarz przypada na 1-2 rodziny, czyta ją prawie wszyscy: dzieci i dorośli, kobiety i mężczyźni, ludzie z niepełnym wykształceniem podstawowym i ludzie z wykształceniem wyższym, rozmieszczeni mleka i inżynierowie.

Pismo ogólnokrajowe trafia natomiast do czytelnika bardziej wyselekcjonowanego, bardziej określonego jeśli chodzi o jego pozycję społeczną, zawód czy wykształcenie.

Kultura masowa jest więc po prostu kulturą kształtującą i zaspokajającą potrzeby wielkich i maksymalnie zróżnicowanych ze społecznego punktu widzenia audytorów. Z reguły środki masowego przekazywania informacji dysponują bowiem zarówno wielkim zasięgiem jak i wielką gęstością rozprowadzenia. Treści przez nie przekazywane charakteryzują najlepiej to, że emitowane są z jednego lub co najwyżej kilku potencjalnych źródeł, i że nie sposób ich dokładnie zaadresować. Nakład wielotygodniowej gazety, idąca w setki i tysiące liczb seansów jednego i tego samego filmu, audycja radiowa, spektakl telewizyjny, płyta z nagraniem popularnej piosenki, pocztówko-

uzupełniający go. Proceder ten zwlewny homogenizacją i polega on na tym, że w ramach działalności programowej łączy się ze sobą treści poważne i lekkie, wartościowe i przyjemne, pouczające i błahie. Przykłady tych obydwu metod łatwo wskazać — stosowane są one namiętnie.

Tu trzeba jednak dokonać ważnego rozróżnienia. Tam, gdzie działalność instytucji kulturalnej podporządkowana jest ściśle regularnym komercyjnym, kiedy instytucja ta pracuje niemal wyłącznie w oparciu o zasadę zysku i strat, trudno jest właściwie ograniczać negatywne skutki postulatów wspólnego mianownika i homogenizacji, ponieważ one właśnie decydują o wzroście liczby czytelników i tym samym wielkości oczekiwanego wpływu finansowego. Z tego względu na zachodzie Europy i w Stanach Zjednoczonych z dnia na dzień coraz żywniejsze stają się tendencje, by odsunąć widmo komercjalizacji od środków masowego przekazu. Nie zawsze się to udaje, ale niekiedy, jak np. we Francji czy w Anglii, zabiegi te wpływają pozytywnie na poziom prasy, radia, filmu czy telewizji.

Groźba komercjalizacji na dobrą sprawę zagrożona została jednak jedynie w krajach socjalistycznych, które stosując świadomą politykę kulturalną, nie wymagają żeby działalność środków kultury masowej była działalnością stawiącą sobie za cel osiągnięcie wyłącznie materialnych efektów. Polska telewizja nie musi się np. troszczyć, czy w danym momencie program jej ogląda maksymalna liczba, powiedzmy 10 mln widzów, czy tylko 500 tys., a nie troszczyć się o to może częściej nadawać wartościowe widowiska teatralne, niż błahie programy rozrywkowe.


Wszyscy znajdujemy się dziś w mniejszym lub w większym stopniu w orbitcie wpływów kultury masowej. Stanowi ona zjawisko młode i dynamiczne, tak że trudno nawet przypuszczać, by jej ekspansja mogła być powstrzymana w jakimkolwiek kraju na kuli ziemskiej. Społeczeństwa dysponujące wypróbowanym aparatem masowego przekazywania informacji mogą szybciej i skuteczniej upowszechniać wartości, wzory zachowania, dzieła sztuki, elementy wiedzy i światopoglądu. Wytrwała praca w tym kierunku, połączona z wysiłkiem w wielu innych dziedzinach, może więc sprawić, że środki te odpowiednio wykorzystane staną się narzędziem integracji społecznej na nie znana dotąd w historii skalę.

Istnieje jednak wiele niebezpieczeństw, z których główne sprowadza się do tego, że środki masowego przekazu wykształcają dość często odbiorcę biernego, zdolnego jedynie trawić treści specjalnie dlań przygotowane. Podkreślają więc niektórzy socjologowie, że w dobie kultury masowej niesłychanie ważną rzeczą staje się docenienie tradycyjnych form aktywności kulturalnej, a w szczególności powiązanie w jedną harmonijną całość tych form tradycyjnych z formami masowymi. Jeśli ten warunek zostanie spełniony, jeśli kontrolowany rozwój kultury masowej ożywi nasze indywidualne zainteresowanie tym, co się wokół nas dzieje, co cenimy, co uznajemy za wartościowe, co podziwiamy, problem zostanie rozwiązany pozytywnie.

Kultura masowa

— zjawisko dynamiczne

Wojciech Roszewski



Fot. Andrzej Polakowski

O ile w piśmie regionalnym w tych warunkach powinno się znaleźć „dla każdego coś miłego” lub „coś miłego dla wszystkich”, to pismo ogólnokrajowe może się łatwo pokusić o bardziej wyrafinowany dobór tematyczny, nie obawiając się, że wywoła tym samym niezadowolone swoich czytelników. O ile w tym wypadku pismo regionalne czyta się, by podkreślić swoją przynależność do społeczeństwa jako pewnej całości, to pismo ogólnokrajowe czyta się po to, by uwypuklić odrębność grupy, warstwy czy klasy, do której się z tego czy innych względów należy. Jeśli teraz za najważniejszą cechę kultury masowej uznajemy dążność do aprobowania bardziej rozpowszechnionych wzorów kulturalnych, wypadnie nam uznać, że nasze pismo regionalne jest w pełnym tego słowa znaczeniu piśmie masowym. Cała sprawa przestaje zresztą trącić paradoksem, gdy uzmówimy sobie, że w naszym przykładzie gęstość rozprowadzania pisma regionalnego jest wyższa, niż gęstość rozprowadzania pisma ogólnokrajowego.

reprodukcja dzieła Piccassa adresowane są więc po prostu: do wszystkich. W tym stanie rzeczy dysponenci środków masowego przekazywania informacji muszą więc sporo natrudzić się nad tym, by uprzedzić jeśli nie wszystkie, to lwia część zadań potencjalnych, bliżej nie określonych odbiorców. Muszą więc w pierwszym rzędzie dbać o to, żeby rozprzestrzeniane przez nich treści były zrozumiałe i łatwo przyswajalne dla możliwie największej grupy ludzi. Rozumują tak: zawsze znajdzie się ktoś, komu nie przypadną do gustu ułatwienia i uproszczenia, mówi się jednak trudno, najwęższe, że większość podoba się to, co prezentujemy. W literaturze socjologicznej proceder ten określa się mianem sprowadzenia emitowanych treści do wspólnego mianownika percepcji.

Nie sposób jednak sycić ciągle odbiorców treściami określonego poziomu. Przeciwnie, poziomy te powinny być różnorodny i odpowiadać przynajmniej częściowo poziomom występującym w audytorium. I tu przychodzi w sukurs proceder drugi, z pozoru przeciwstawny pierwszemu, lecz w praktyce

## Z tradycji bibliotecznych Lublina

**K**RESŁAC sylwetkę Józefa Skłodowskiego, pisalam w „Kamieniu” (nr 18 z 30.IX.1967 r.) o gimnazjum gubernialnym lubelskim. W latach Komisji Edukacji Narodowej nosiło ono miano szkoły wydziałowej, w latach Księstwa Warszawskiego — szkoły departamentowej, a od roku 1816 — lubelskiej szkoły wojewódzkiej. I zwłaszcza w tym okresie, to jest w latach 1810—1830, placówka ta w dziejach Lublina położyła ogromne zasługi. Między innymi jej dziełem jest powołanie do życia pierwszej biblioteki publicznej naszego miasta — Instytutu Bibliopolicznego.

Jeśli między rokiem 1851 a 1862 spiritus movens szkoły był jej dyrektorem w osobie Józefa Skłodowskiego, to we wspomnianym wcześniejszym okresie rolę tę spełniał w równie wielkim stopniu jej ówczesny rektor — Andrzej Smolkowski, wychowanek akademii krakowskiej, uczeń Kollataja i Śniadeckiego. Lublin był wtedy atrakcyjnym ośrodkiem, ściągającym na posady zasłużonych karier pedagogicznych nauczycieli. Smolkowski robił wszystko, żeby tym ludziom stworzyć warunki do pracy. Czasy były nieco łatwiejsze, gwarantujące pewne swobody osobiste i polityczne. Był to okres, który budził nadzieje, co wyzwalalo różnorakie inicjatywy, między innymi w srodowiskach intelektualistów. Na uwagę zasługują, że wielu lubelskich pedagogów podjęło działalność naukową.

Takie ambicje wymagały odpowiedniego zaplecza — warsztatów naukowych. Tymczasem organizująca się szkoła nie posiadała prawie żadnych pomocy do nauczania przedmiotów matematyczno-przyrodniczych ani też własnej biblioteki.

Oto jak dramatycznie maluje tę sytuację Smolkowski w piśmie do Eforatu z dnia 11 października 1811 r.: *Szkola tujejsza żadnej biblioteki nie ma prócz jednego dzieła Niemeyera: zasady edukacji i instrukcji i sześćdziesiąt pozostałych ze zwalonej biblioteki pojezuickiej... W muzeum znajduje się cylindr od wiatrociagu i dwa globy: ziemski i niebieski, zatarci i potłuczone, gabinetu także nie masz.* Dziś, kiedy biblioteka jest niemal w każdym domu, trudno sobie wyobrazić szkołę bez własnego księgozbioru, dzielnicę miasta bez wypożyczalni. W pierwszym dziesięcioleciu XIX wieku aktywne środowisko inteligencji lubelskiej dotkliwie odczuwało ten brak. Ludzie o aspiracjach naukowych czy literackich zmuszeni byli korzystać z księgozbiorów prywatnych, których stonkowo sporo było zarówno w wo-

jewództwie jak w samym Lublinie. Kajetan Morykon, zanim w 1810 r. został profesorem języka i literatury polskiej w szkole departamentowej, był nauczycielem domowym. Po latach wspomina w swej autobiografii: *Przy obowiązkach nauczyciela domowego miałem jeszcze sposobność czytać i pisać... Wspomnieć tu powinienem z wdzięcznością dom generała Radziwiłłskiego, sę-*

okolicy i przy ich ofiarnej pomocy zorganizowanie biblioteki o charakterze publicznym. Ze tak było, świadczą następujące słowa zaczerpnięte z programu szkolnego na rok 1812: *Dotąd nie mając żadnych początkowych zakładów stan szkół naszych z tej miary bardzo jest smutny, wskazuje przynajmniej co do biblioteki nie byliśmy w tym roku zupełnie bez pomocy. Na za-*

wodnikiem tych postępowych dążeń, propagowanych przez ludzi światłych, mających dobro narodu na względzie.

Rola szkoły w utworzeniu Instytutu Bibliopolicznego nie kończy się jedynie na pomysły. Faktycznym jego organizatorem był profesor Kajetan Morykon. Był to człowiek literatury. Jego wszechstronne studia humanistyczne i zamiłowanie sprawują, że gdzie się znajdzie, tam wszczyną ruch biblioteczarski. Szczególnie wiele zdołał pod tym względem dla Lublina, o czym będzie za chwilę mowa, ale i w późniejszych okresach życia, kiedy był komisarzem oświecenia w Siedlcach, a następnie rektorem szkoły wojewódzkiej w Plocku, również nie zaniedbał tych spraw. Jest niezwykle skromny, najlepszy dowód, że swoje prace literackie rzadko podpisywał, zafascynowany książką. Uwzględniając cechy charakteru można wnosić z jego słów: *oprócz tego Instytut Bibliopoliczny w roku 1811 uźnieszony był w części owozem moich starań, że był obok Smolkowskiego nie tylko inicjatorem tej sprawy ale i głównym jej organizatorem.*

Instytut Bibliopoliczny pomysły został jako towarzyszywo akcyjne. Jedna akcja stanowiła wartość 100 złotych. Składano je w książkach, mapach lub czyste gotówce, za którą następnie zakupowano książki. Organizatorzy wykorzystali przede

# JAK SIĘ ZACZĘŁO?

Mieczysława Welna - Adrianek

dzięgo Zgliczyńskiego, chorążyny Hulewiczowej, państwa Stryjskich, których zbiory książek otwarte miałem. Znaczenie księgozbiorów prywatnych doceniał także rektor Smolkowski, gdy w kolejnym sprawozdaniu pisał: *Szczęściem mamy pod ręką i do wspólnego użytku oprócz szczególnych po profesorach zbiorów, kilka prywatnych, dosyć obfitych i szacownych, osobliwie też J. O. Karola Scypiona i W. Urmowskiego. Biblioteki prywatne mogły tylko w części zaspokoić potrzeby czytelnice rozwijającego się miasta, a zwłaszcza środowiska szkolnego.* Zdawało sobie sprawę, że lubelska placówka oświatowa nieprędko dojdzie do posiadania własnej biblioteki, gdyż fundusze na ten cel były bardzo skromne. Pozostała jedyna droga, a mianowicie odwołanie się do mieszkańców Lublina i

losny głos nauczycielów, że są bez książek, czuli miłośnicy nauk znaczną dosyć złożyli sumę do utworzenia Instytutu Bibliopolicznego i można mówić, że stopień do jakiego w niektórych wiadomościach posunęły się szkoły temu ustanowieniu winni jesteśmy. Cytat ten właściwie przesądza autorstwo pomysłu.

Myśl organizowania bibliotek publicznych nie narodziła się na gruncie lubelskim. Pomijając pierwszą w kraju bibliotekę publiczną założoną przez Żaluskich, wywiezioną przez zaborcę do Petersburga, ideę tę usilnie propagowało Towarzystwo Przyjaciół Nauk w Warszawie. Jego pierwszy prezes, Albertandy, zalecał, aby w miastach wojewódzkich zakładane księgozbiory publiczne. Lublin był pierwszym z miast prowincjonalnych, który to podchwycił. Smolkowski jako członek Towarzystwa był niewątpliwie prze-

(Dokończenie na str. 11)

**T**A historia o mapie jest prawdziwa; zresztą na własne oczy oglądałem dowód rzeczowy. A opowiedział mi ją zeszłego lata, nad augustowymi jeziorami, pewien znajomy.

...tamta wiosna była tak niespokojna, jak bulgotanie wrzących w garnku ziemniaków. Wyczuwało się, że do zakończenia wojny pozostają liczone dni. Spałem na stajennym strychu i całymi nocami wsłuchiwałem się w dochodzące od wschodu grzmoty. Przelewały się one w nocej ciszy, niby zwiastuny pierwszej, wiosennej ulewy, ale były to grzmoty armatnie. Byłem tak przejęty oczekiwaniami, że kiedy grzmot wydał mi się szczególnie potężny, natychmiast wyskakiwałem spod koca, biegłem do małego okienka pod szczytem i wypatrywałem lun. I wreszcie, którejś nocy, doczekałem się. Gdzieś, jeszcze bardzo, bardzo daleko, w atramentowej nocnej ciemności, falował czerwono-żółty pasek. Postanowiłem, że to już moja ostatnia noc u baubera. Nie ma — pomyślałem — na co czekać, trzeba tylko rwać na spotkanie frontu, byle szybciej do matki, do Polski. A taki byłem do nich stęskniony, taki rozdygotany niewiedzą, co tam się w domu dzieje, że gdyby mi ktoś kazal, to bym do Polski na kolanach szedł.

Od czasu, jak mnie na roboty do Niemiec wywieźli, już dwa razy próbowałem uciekać, ale obydwą razy nieudanie. Dwa razy też mój bauer wyciągał mnie z gestapo zbitego, zmaltretowanego; miał do mnie serce, ten mój bauer. Nazywał się Knabe, Rudolf Knabe, był kulawy, jeszcze z wojny w 1914 roku i mieszkał we wsi Rambow, niedaleko Wittenbergi. Chłop był porządny, Hitlera i wojnę przeklinał w żywe kamienie; dwóch synów zgineło mu na wojnie. Miał Knabe z 10 hektarów ziemi, parę koni, 5 krów, świn kilkaścian i starą, wiecznie pochillającą za chłopakami Frau Knabe. Skoro świt mówił do Knabego, że na nic więcej nie czekam, tylko zaraz wyruszam do Polski, Knabe radził przeczekać. Front, mówił, niebezpiecznie. Dam sobie radę, nie ma strachu. I poszedłem. Lata były młode, nogi do chodu przyzwyczajone, i ta wiosna, i ta świadomość, że co krok, to bliżej domu! Ale niedaleko zawędrowałem. Bo oto już w sąsiedniej wsi natknąłem się na kolumnę wycofującego się z frontu Wehrmachtu. Uznałem, że bezpieczniej będzie przeczekać gdzieś na uboczu, aż się do wszystkiego przewali. Stałem więc w zalamaniu muru pod kościołem, czekałem i patrzyłem. A było na co popatrzeć, aż się serce radowało.

...Słońce przygrzewało, młoda zieleń kłapała w opłotkach, kwitły bzy, a Niemcy szli na zachód. Złe powiedziane — zli;

oni po prostu wiali! Wiali, jak te szczyry z tonącego okrętu. Ciężarówkami, obciążone żołnierzami, furmanki, rowerzyści, piesi. A wszystko to wymierzowane, zaoszczędzone, obdarte, i to spotkało ich we własnym kraju, na niemieckiej ziemi! Jakże obraz tego odwrotu kontrastował z obrazem wkroczenia Niemców do Polski. Trzeba było wtedy widzieć te chamskie butne miny, zwarte kolumny żołdaków, te mordy wypasione, żołnierz — jeden w jednego!

mi gapił się jeszcze na słońce, ale krew coraz większą strugą waliła mu z roztrzaskanej potylicy. Oficer dogorywał i rytmicznie, coraz wolniej dał pasurami przykoscielnie klepisko, i tak samo rytmicznie przyginały się jego czarno obute nogi. Ostatnie drapnięcie, ostatni przykurcz nóg. Niemiec u mych stóp zmarł, wydużył się i tylko zaszelebiał białym okiem, jakby zdziwione, wpatrywały się w słońce. Wzięło mnie na wymioty, charknęło krótko, boleśnie. Wytarłem

schylił się nad nim i jak chował się co za pazuchę.

— Patrzyłem tylko, czy zabity. Nic mu nie wzięłem.

Znowu szturchnął mnie boleśnie.

— A jakże, patrzyłeś, czy zabity? A co schował do kieszeni? Dawaj to i powrotem, ale już, no?

— To był mój portfel. Wypadł mi, jak się nad nim schyliłem... Mogę ci pokazać... mam go w kieszeni marynarki.

— Trzymaj łapy w górę.

Hans prawą ręką wciskał mi łufę w brzuch, a lewą sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki. Drżałem z obawy, żeby, broń Boże, nie zaszeleściła ukryta pod koszulą mapa.

Ale Hans szczęśliwie wyciągnął tylko portfel. To był bardzo ładny portfel, taki jasnobrązowy, z miękkiej, ciętej skóry, z wieloma przegródkami. Dostałem go w prezencie od Knabego. Spodobał się Hansowi, bo aż mu się ślepa zaświeciły. Oglądając portfel Hans zwolecił naciągnąć łufę, a potem schował go do swojej kieszeni i krzyknął.

— No, zjeżdżaj stąd.

— Ale portfel, przecież tam są wszystkie moje papiery.

— Mówię ci, zjeżdżaj, bo jak ci przysunę...

Nie wiem, co mnie w tym momencie podkusiło, dość że skoczyłem na Hansa z pasurami i runęliśmy na ziemię. Przydułem gojka do ziemi, przygniotłem pierś kolanami, wyszarpnąłem portfel i skoczyłem za kościół. Uciekałem, ile sił w nogach przez opłotki, a potem polami, do najbliższego lasu. Tam się dopiero obejrzałem. Miałem szczęście; nikogo po drodze nie spotkałem i nikt mnie nie gonił.

Na czerwonym, spiczastym dachu kościoła słońce bawiło się złotym krzyżem, a dookoła było tak niezwykajnie cicho i spokojnie, jak w niedzielę rano. Samoloty odleciały i tylko dymy znad wsi przypominały o tym, co się tam przed chwilą stało. Przyległem na kępie suchej, zeszlorocznej trawy; odpocznę — myślę — chwilę, a potem zorientuję się według mapy i wybiorę najlepszą trasę. „A to gówniarz z tego Hansa, portfela mu się zachciało! Szkoda, że go mocniej nie zaprawiłem, bo jeszcze szumu narobi i mogą mnie szukać”. Wpatrywałem się w czujnie w stronę wsi, ale stamtąd nikt się nie zbliżał; widocznie Hans dał spokój, albo nie wiedział, gdzie mnie szukać.

Wyjąłem zza pazuchy pomiętą mapę, rozpostarłem, wygładziłem starannie na trawie, pochylłem się nad nią i pierwsze słowo jakie rzuciło mi się w oczy, to było, czarnymi, dużymi literami wydrukowane słowo: P A R I S.

Tak, to nawet nie była mapa, to był najzwyczajniejszy w świecie, standardowy plan Paryża...

# M A P A

Zbigniew Domino

Wies sprawiała wrażenie wymarłej; nikogo nie widać w opłotkach, nikogo przy furtkach, nawet zwykłe ciekawych dzieciaków nie było. Wtem nalo! Spod jasnego słońca wyskoczyły niespodzianie trzy samoloty. Czerwone gwiazdy mignęły na skrzydłach. Samoloty, pilkując jeden za drugim, walily bombami w kolumnę. Rżenie i dziki galop taborowych koni, jęki tratowanych ludzi, śwąd spaleniżny i panika. Żołnierze — na lew, na szyję — zeskakiwali z samochodów, z rozmachu przeskakiwali płoty i kryli się, gdzie popadło; każda wienka, każdy cień był dobry. Na ulicy pozostały tylko porzucone samochody, rowery i inny sprzęt wojskowy. Omal nie przykleiłem się do czerwonego kościelnego muru i z duszą na ramieniu czekałem, co będzie dalej. No, myślę sobie, czyżbym miał takiego pecha, żeby, dosłownie na godzinę przed wyzwoleniem, tak głupio zginąć? Zrzuciwszy bomby, samoloty zaczęły grać po kolumnie z karabinów maszynowych. Przy kościele zapłonęła ciężarówka i brudnożółty dym koziołkował po drodze.

Wtem, zza kościoła, wyprysnął późniony motocykl z przyczepą. Z ogromnego rozpędu nie udało mu się wziąć zakrętu i tak, w pełnym biegu, rąbnął w przykościelny, kamienny płot. Kierowca krwawą plamą przylgnął do białego muru, a jego pasażer, wyrzucony jak z katapulty, rąbnął na kocie łby, tuż koło moich stóp. Oficer, leutnant chyba. Otwartymi oczami

twarz rękawem i wówczas wpadł mi w oczy mapnik; czarny mapnik, przy tym zabitym oficerze. Mapa, Mogę zdobyć mapę, która jakże przyda mi się w tym chaosie. Będę wiedział, gdzie się poruszyć, którędy najbliższe do Polski, jak się wydostać z tej plątaniny okolicznych jezior, rzek i kanałów. Dym, śwąd, nikogo w pobliżu. Podskoczyłem do trupa, skurczyłem się nad mapnikiem, szarpnąłem zatraski, wyciągnąłem mapę i schowałem czym prędzej za koszulę.

Nagle, ni stąd, ni zowąd — napatoczył mi się chłopak miejscowy, taki hajot zasmarkany, w brązowej wiatrówce, z karabinem w łapie. Ten hajot miał na imię Hans, wiedział, że jestem Polakiem i że służę u Knabego. Ja go też znałem, bo jeździłem do tej wsi, do mleczarni, a Hans był synem mleczarza.

— Lapy do góry! Co tu robisz? — wrzeszczy Hans.

— A ciebie co to obchodzi?

— Du schweine Pole! Jak ci wpakuję kule, to nie będziesz taki mądry.

Hans szczenił zamkiem, wprowadził nabój do łufy i przystawił mi ją twardo do brzucha. Uniosłem ręce.

— Coś ukradł temu oficerowi? Oddaj to, ale już! No?

— Nic mu nie ukradłem.

— Lufa boleśnie rąbnęła mnie w żołądek, aż mi dech zaparło.

— Nie kłam, ty świnię. Obserwowałem cię zza płotu i dobrze widziałem, jak

## Wiktor Zawada czyli...

Rozmowa z autorem „Kaktusów z Zielonej ulicy“



Fot.: J. Trembecki

**P**OWODZENIE z miejsca było ogromne: 20 tysięcy nakładu zniknęło w ciągu 6 tygodni. Mimo że nazwisko autora — Wiktor Zawada — kryło debiutanta, który miał już lat 36. Ale przeznaczona dla dzieci (tych starszych) i młodzieży (tej młodszej) książka „Kaktusy z Zielonej ulicy“ trafiła w szeroką lukę, jaka istnieje w naszej literaturze przygodowej dla tego rodzaju czytelników. No i realia związane z Lubelszczyzną, tak jak i sam autor.

— Czy nie uważasz — zaczynam naszą rozmowę — że czas zdradzić publicznie, kto kryje się za autorskim pseudonimem? I tak wtajemniczonych jest coraz więcej.

— Niech więc będzie, prawdziwe nazwisko Witold Welcz, od lat 15 dziennikarz, od 12 redaktor depeuszowy „Kurier Lubelskiego“.

— Należysz więc do tej grupy dziennikarzy, która w zasadzie pracuje anonimowo, ale tworzy „twarz“ gazety, jej pierwszą stronę. Okazji do pisania raczej mało...

— Rzeczywiście mało. Prawdę powiedziano, tylko dwa razy miałem możliwość napisania reportażu. A tak codzienna orka od 5 rano do południa.

— No i jak to się stało, że zacząłeś pisać powieści?

— Od przypadku. Lubię odwiedzać Zamość, gdzie przeżyłem młodość. Podczas jednego z wyjazdów spotkałem wycieczkę szkolną ze Śląska, która śmiertelnie nudziła się bez przewodnika. Najpierw zaczęliśmy taką sobie rozmówkę, potem objąłem rolę przewodnika, która z trudem skończyła się gdzieś po północy. Mówiłem o historii miasta, o tragicznych i wesołych wypadkach z okresu okupacji. Jeden z uczniów wykrzyknął wtedy: pan powinien to opisać! No i tak jakoś zacząłem. Pierwszym, bardzo surowym, recenzentem był mój dziewięcioletni syn, Tomek. Gdy stwierdzał autorytatywnie, że przeczytany rozdział to „zapno“, zaczynałem od początku. Ale w pierwszej wersji były to raczej wspominki. Dopiero p. Zofia Wójcikowska, kierownik działu literatury pięknej w Wydawnictwie Lubelskim, zachęciła mnie do napisania powieści dla młodzieży, walczącej z moją debiutanką trzęsą, służyła radą i pomocą. Wiesz, że asystowałem już przy narodzinach kilku tysięcy numerów gazety. Ale gdy z maszyn schodziła moja książka, treść miałem okropną. Dopiero przychylnie recenzje nie znanych mi zupełnie osób jakoś mnie uspokoiły.

— Złożyłeś w Wydawnictwie Lubelskim następną powieść — „Wielka wojna z Czarną Flagą“, z której wyjątek drukujemy obok. Czy to dalszy ciąg pierwszej?

— Raczej tak. A piszę — chociaż to udaje się raczej tylko w czasie urlopu — następną, jej tytuł roboczy „Leśna szkoła strzelca Kaktusa“. Będzie to swego rodzaju przycynek do losów dzieci z Zamojszczyzny, oparty na przeżyciach własnych i moich kolegów. Potem chciałbym napisać powieść harcerską z lat 1947—48 o prowizorycznym tytule „Obóz na Górze Czarownic“, czyli na Łysej Górze, a potem powieść całkiem już współczesną, zagłębioną o pracę redakcyjną. Ale chyba przy każdej okazji będę powracał do Zamościa. Kocham to miasto, chciałbym tam kiedyś mieszkać jeszcze przez kilka lat. Jeżeli starczy wytrzymałości, marzy mi się jeszcze powieść o czasach gimnazjalnych w tym mieście, chciałbym też pokazać wspaniałe postacie profesorów mojego pokolenia, jak np. prof. Pieszke. No, ale w tej chwili mam tylko tytuł — „Głobus i pika“.

**G**DZIE Polcia? — zaniepokoił się Dzidek. Niemce ją wzięli... Co?! — Jasiek, porażony tą wieścią odsunął zagradzającego mu drogę Jędrka i stanął tuż przy mężczyźnie. Ten był rośli, barczysty, o ogórzanej twarzy. Ale męska twarz wyrażała tylko rozpacz i beznadność. — Niech pan nareszcie mówi! — Jasiek potrząsnął nim energicznie. Po chwili, wiedząc już wszystko, postanowił działać.

## „Za moją kuzynkę...“

Wiktor Zawada

Zresztą, aby mieć czyste sumienie, poszedł do ojca. Ten zrozumiał jego intencje, zanim usłyszał ostatnie słowo. Ojciec, tak jak i on sam, lubił Polcię, która nie tylko słowa ludzkiego nie poskapiła, ale i pomocy. Ile to razy przyłożyła rękę do ich męskiego gospodarstwa. Poprała, wyprasowała, wybielała ich skromną izbę, a o jakiegokolwiek zaplacie słyszeć nie chciała.

Ojciec przycisnął Jaska do piersi, poglądził jego jasną czuprynę sekątką, spracowaną dłonią.

— Idź, chłopie — powiedział. — A uważaj na siebie!

Czując, jak strach sięga mu do gardła, Jasiek naciągnął kłamkę drzwi. Znalazł się w obszernej, wysoko sklepionej sali. Na środku stał stół założony jakimś papierami. Pod ścianami wianuszek ludzi z łapanki. Przy nich kilku żandarmów z karabinami. Jeden z nich zwrócił uwagę na chłopca, lecz ten już tkwił przed stołem, za którym siedzieli dwóch cywilów i jeden Niemiec w mundurze.

— Proszę pana — zwrócił się do tego w mundurze, — ja chciałem...

— Na roboty? — przerwał mu w pół słowa.

— Tak...

Wszyscy trzej Niemcy zza stołu spojrzeli na Jaska, jak by mieli przed sobą szaleńca.

— Dobrowolnie? — upewnił się ten mundurowy.

— Tak, za moją kuzynkę.

W tej chwili spod ściany rozległ się przejmujący krzyk, w którym Jasiek bez trudu poznał głos Polci-Kapelusik. Odetchnął z ulgą. Jest Polcia, zatem nie chybił! A ona wołała:

— Jasiu! Olaboga! Co ty robisz!

Wszyscy spojrzeli w jej stronę. Niewysoka dziewczyna, w kraciastej chustce nasuniętej na czoło, stała z zalamanymi rękami, powstrzymywana przez wartownika.

— To właśnie ona — przerwał Jasiek grobową ciszą.

— I za nią chcesz jechać na roboty? — z zaciekawieniem dopytywał jeden z cywilów.

— Tak. Chce.

Niemcy spojrzeli po sobie porozumiewawczo.

— No dobrze, ale powiedz nam, dlaczego?

— Bo ona jest chora. I w ogóle...

— Może więc pojedziecie razem? Będziecie się mogli nią opiekować.

Takiego obrotu sprawy chłopiec nie przewidział. W poplochu szukał skutecznych argumentów.

— Proszę pana, z niej nie będzie żadnego pożytku na robotach. Ona ma gruźlicę. Miała tyfus... Ciągłe na coś choruje. A w domu jest też chory ojciec.

Niemcy roześmieli się rubasznie, wyraźnie ubawieni.

— Cały szpital — rzucił któryś.

— Tak — podchwycił Jasiek. — Tylko ja jeden w domu jestem zdrow i mogę być pożyteczny.

— A cóż ty takiego potrafisz?

— Wszystko, proszę pana — zrobił bardzo pokorną minę. — Potrafię kosić, doić krowy, rznąć siewkę. W ogóle wszystko przy gospodarstwie. Już cztery lata pracuję jak dorosły.

Niemcy nie kryli zadowolenia.

— A ile masz lat?

— Szesnaście — skłamał bez namysłu i uczynił krok do przodu.

— Proszę zobaczyć, jakie mam mięśnie. Worek kartofli udźwignę. Weźcie mnie za kuzynkę — prosił natarczywie.

— Pojedziesz na roboty — obwieścił Jaśkowi ten w mundurze. — Marsz pod ścianę! — rozkazał groźnie. Jasiek uklonił się stółowi w podzięk.

— A ją wypuścicie? — pytał jeszcze wskazując w kierunku Polci-Kapelusik.

— Jak się nazywa?

— Apolonia Jędruszczyk.

— Jędru... — Niemiec zaczął się na trudnym nawzisku. — Jędru... — powtórzył (uciekają) do domu. Jasiek i Kapelusik minęli się na środku sali. Dziewczyna miała oczy czerwone, zapuchnięte od płaczu. Nie nie rozumiejąc spojrziała na chłopca żałośnie. Odpowiedział jej prawie niedostrzeżalnym uśmiechem, w którym chciał zawrzeć i pociechę dla niej, i własną radość z udanej zmiany. Stał już pod ścianą, gdy odwrócił głowę. Rozchyliła wargi jak by szepiała:

— Jasiu, dziękuję...

## „Partizany...“

Szybki Jędrk konal z nudów.

— Czego by nie tknął w gospodarstwie pana Marcina — wszystko wychodziło nie tak jak powinno było wychodzić. A to krowom dał czerwonej koniczyny i gdyby Polcia-Kapelusik nie dostrzegła w porę — popekalyby, a znany gospodarz zbierałby ze ścian szczytki swoich ulubieńców. Innym razem w drodze wyjątkowej przychylności otrzymał kosę z zadaniem wytrzebieńcia chwastów na skraj sporego sadu — przedmiotu największej dumy pana Marcina. Ale nie jego. Jędrka wina było, że razem z chwastami pod ostrzem legły młodzieńskie sadzonki malin, agrestu i porzeczek.

Kiedy jeszcze w czasie polowania na wielkiego szczyra Szybki przeproszył lasiczkę, ducha opiekuńczego gospodarstwa, pan Marcin nie wytrzymał.

— A poszłże won darmożjadzie, obiboku, ciemięgo, fujaro bełżycka, lebiego zatracona, o chwia i o batalionowa — rzekł z nieznanym spokojem i raz na zawsze odsunął Jędrka od prac gospodarskich.

Odtąd zaczęło się konanie z nudów. I jeśli cokolwiek uratowało Szybkiego od rozstania się z tym najpiękniejszym z światów — to ona „ochwiara batalionowa“, plekająca bardziej niż otwarta rana. Postanowił udowodnić, że jeśli jest tu „ochwiara“, to w każdym bądź razie nie on nią jest. Wkrótce wszystko było zapięte na ostatni guzik.



# „Partizany...”

(Dokończenie ze str. 8)

— Chłopaki przyjdą, panie Szybki. Ilu trza? — meldował Pietruszka.

— Ceteręch wystarczy. Nas dwóch, brachu — sześciu w sam raz. Kalmuków tylko trzech — damy radę we dwóch na jednego. Tylko pamiętaj, mają przyjsie tacy, z którymi konie można kraść.

— Dobra panie Szybki. Jak pan każe, to zrobione.

Słońce kończyło całodzienną wędrówkę, kiedy Szybki na czele zwerbowanej przez Pietruszkę kompanii zaczął się w gęstej kępie olszyny. W trakcie kompletowania liczb zamachowców urosła do ośmiu i zdaniem nie wypadło odmówić zażyciu udziału w akcji.

— Kalmuckie krowy ryczą. Wymlona im cięzą, do udoju spieszno — informował Pietruszka. — Zara pędzić będą.

— Spokój, kończyć gadanie! — komenderował sam szef operacji. — Czy wszyscy wiedzą, co mają robić? — upewniał się jeszcze, chociaż już dwukrotnie sprawdził przedtem stan gotowości i „wszystko grało”.

— Sie wie — odpowiedział za wszystkich rudy Felek, zwany Wiewiórką.

Szybki poszerzył trochę otwór w zbitę ścianę olchowych gałęzi i obserwował pastwisko.

Przodem kroczyło dwóch Kalmuków ponaganych żwawym krokiem krow i cielaków doskakujących niecierpliwie do pełnych wymion matek. Jeden z żołnierzy miał dubeltówkę przewieszoną przez ramię na rzywczajnym sznurku. Drugi, idący z posiadaczem flinty i ten zamykający pochód, nie mieli żadnej broni, chyba że bronią są długie batogi o króciutkiej rękojeści. W zbit obszernych mundurach feldgrau wyglądali apatycznie i bardzo niemirowo sunęli w stronę wsi, odległej od pastwiska o ponad kilometr. Czoło stada osiągało pierwsze krzewy olszynki.

Szybki ścisną w prawicy skręcony sznurek i odwracając twarz od klucza uderza zamachem za ucha. Huk jest tak potężny, że kanonier z bożej łaski wali się na ziemię.

Oczywiście nie ze strachu! Skądże — z wrażeń. W uszach dzwonią mu tysiące dzwonek.

Ale basowe „huuuurrraaa” tłumi ten koncert. Nadbiega gdzieś z przodu, zaraz odywa się z tyłu, rozbrzmiewa po obydwu stronach drogi. Bojowe zawołanie napawa lekkiem samym szefa operacji.

Cóż dopiero mówić o Kalmukach, którzy i bez tego boją się własnego cienia świadomi zdrady, jaką popelnili wkładając niemieckie mundury.

Szybki Jędrak jest już na nogach i patrząc przez otwór w gałęziach wali się z uciechy po udach.

Stado rozprysło się na wszystkie strony. Z łomotem racic pędzi na wysięgi z pastuchami.

A Jędrak już powtórnie załadował armatę. Huknęło — trochę słabiej niż za pierwszym razem, lecz wystarczająco, by popędzić uciekających.

Tymczasem niezawodny Pietruszka już chyba z minutę zawodzi babskim głosem, jakby strzelał ugodzili go w najbardziej czule miejsce.

— Łojezu! Partizany! Spasajcie ludzi! Partizany! Łojezu, partizany!

Teraz panika w stadzie osiąga swój szczyt. Wali się z nóg uderzony przez krowę pastuch. Powstaje w mgnieniu fręncy, biegnie w tłoku pękających krowich brzuchów. Po tych dwóch prowadzących przodem — najmniejszego śladu.

Jeszcze jeden wystrzał z armaty, jeszcze trochę zawodzenia i bojowych okrzyków niby to nacierających „partizanów” i stado niknie spowite wielkim tumanem kurzu.

Szybki nie potrafi opanować radości. Wyskakuje na drogę, wyrzuca ramiona gestem zwycięcy i woła: — Hurra!

Schodzą się pozostali „partizany”. Chrypią niemilosiernie, ale radośnie bliska ślepiami.

— O rany! O rany, ale mieli pie-truchę! — ścisła ich Jędrak, a oni z szacunkiem patrzą na komendanta i projektodawcę krowiego pogromu. Sami także podskakują z uciechy.

Wiktor Zawada



Fot. A. Różycki

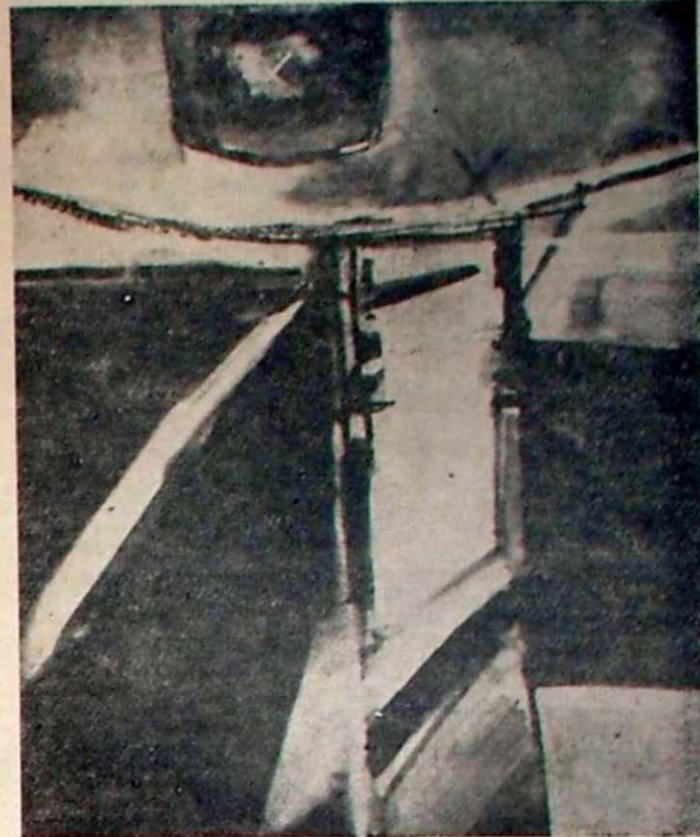
## PLASTYKA Wyrodny potomek koloryzmu

**P**O ukończeniu akademii warszawskiej znalazł się na poziomie załudnionym najgęściej przez różne roczniki — adeptów, sympatyków i koryfeuszy koloryzmu. Startował w warunkach trudnych, każda decyzja mogła okazać się potknięciem, każdy zwrot recytacją wyczuwanych wersów. Urodzony w 1936 r. miał jednak wielką szansę, której los oszczędził starszym nieco kolegom. Oni mieli do wyboru tylko „tak” i tylko „nie”, Zbigniew Kurkowski mógł przebieierać do woli, mógł zapisać się tu, i tam, i jeszcze gdzie indziej.

Ale te nieograniczone możliwości kryły w sobie kolejne niebezpieczeństwo: było ich po prostu zbyt dużo i wszystkie wydawały się równie atrakcyjne i jednakowo już nudne. W tej sytuacji możliwy był tylko kompromis: koloryzm ożeniony został z abstrakcyjną formułą. Kurkowski wszedł na drogę, którą przemierzali gromady młodych malarzy, debiutujących na początku lat sześćdziesiątych.

Kielczanin zdawał sobie sprawę z kompromisu. Obrazy z lat 1964—1965 tytułował „Pejzażami”, bo w rzeczy samej były to struktury zaobserwowane w naturze, tyle że odarte z przedmiotowych szczegółów. Pregel ochry i czerni, linie szarości i błękitów, zatopione w bieli, rysowały na płaszczyźnie siatki znaków, nietrudnych do rozszyfrowania. Zestrojone kolorystycznie, „przyjemne dla oka”, już te pierwsze prace ujawniały jednak pewną nerwowość, pobudzona łamanym rytmem mocnych linii, uciekających w przestrzeń pozaobrazową. Dłoń kolorysty, przyzwyczajona do wznoszenia harmonijnych budowli, drżała coraz częściej i mocniej, więzy konwencji trzeszczały w szwach.

W roku 1966 Kurkowski namalował obraz bardzo ważny, który sygnalizował kierunek dalszego postępowania. Błękitno-zielony pióropusz strzelistych prętów rzucił w „Largo” na fosforyzujące tło bieli, przez poszarpaną kurtynę pierwszej warstwy ujawniała się druga, jednorodna, sugerująca dalekie przestrzenie. I od tego momentu wrzestrzała, świetlista plama i mocna, graficzna linia zdecydowały o malarskim języku Kurkowskiego. Obrazy nabiora nie spotykanej poprzednio dynamiki i dramatyczności, konflikt, a nie koegzystencja stanowił będzie o charakterze wyrazowym jego prac.



W 1967 r. zaczyna malować cykli „Ptaki”, w którym daleko już odchodzi od wczesnych, kompromisowych pejzaży, aczkolwiek tendencje do znakowania i powierzchni obrazów nadal istnieją, mało tego — zostają spotęgowane. Kurkowski decyduje się na krok ryzykowny: podejmuje malarską grę symbolami. Balansuje na krawędzi poplastycznej elokwencji, pragnie mówić o sprawach uniwersalnych, o problemach ludzkich, przy pomocy środków malarskich chce definiować stosunek sztuki do człowieka. Jest już na tyle pewien swoich racji, na tyle dojrzały twórczo, że z rozrywką tej wychodził przeciw zwycięsko, jako jeden z nielicznych.

Jego ptaki to peki twardych, krótkich i rwanych czarnych kresek, sugerujących lot z ogromną szybkością w świetlistej przestrzeni, to symbole nieustającej aktywności. Czasami towarzyszy im niewielka sylwetka człowieka bez twarzy, zwróconego w kierunku wysokiego lotu. Działanie i bierność realizacja i pragnienie.

Wreszcie, naturalną kolejną rzeczą, naturalną, bo wynikającą z kierunku rozwoju tego malarstwa, rolę centralnego motywu obrazów powierza Kurkowski postaci ludzkiej. W niewielkich odstępach czasu powstają „Adam” i „Ewa”. Obie płaskie sylwetki wtopione

w biel — „Ewa” unieruchomiona dopatkiem smugami koloru — zamiast twarzy posiadają anonimowe koła. Jest w tej bezosobowości jakiś sarkazm, jest bliskawiczne, skrótowe zakreślenie obecności człowieka w dzisiejszej sztuce: jako formy, jako kształtu, który można czasami przywołać, wykorzystać.

Kolorysta z wykształcenia, abstrakcjonista z pierwszego, impulsywnego wyboru, doszedł Kurkowski do dramatycznego malarstwa, w którym coraz częściej pojawiają się znaki czytelne i sytuacje w miarę przejrzyste treściowo. Jego rozwój twórczy jest wyjątkowo konsekwentny: struktury „Ptaków” wywodzą się ze struktury pejzaży, znak pozostał sygnałem czegoś lub kogoś, wzmocnił się tylko, wzbogacił. Udało się natomiast Kurkowskiemu odrzucić to, co przez pewien czas obciążało jego malarstwo, a mianowicie kolorystyczną łagodność, dobre wychowanie w postimpresjonistycznej szkółce, bezkonfliktowość. Tworzy sztukę drapieżną, ekspresyjną, prowokującą refleksje i doznania nie tylko estetyczne, okazuje się malarzem czułym na sprawy świata, w którym żyje. Takie wnioski nasuwają się po obejrzeniu lutowej wystawy malarstwa Zbigniewa Kurkowskiego w krakowskiej galerii „Arkady”.

IJK

## Sport w telewizji

(Dokończenie ze str. 1)

uwijających się za piłką. Gdzie są? Przecież ma to znaczenie strategiczne. Niektórzy nieco lepsi sprawozdawcy usiłują tę rzecz wyjaśnić, lecz kiedy już widzimy wszystko na własne oczy w telewizji, wówczas nie zawsze słuchamy uważnie tego, który snuje własny komentarz o grze. Widzimy — a więc tworzymy świadomie lub podświadomie komentarz własny. Chcemy widzieć wszystko, a widzimy fragment. Dokładniej, ale mniej pełnie.

Przynajmniej w naszej telewizji. Kiedyś obserwowaliśmy międzypanstwo spotkanie w towarzystwie kilkudziesięciu osób i wszyscy odnieśliśmy to samo wrażenie. — Przeciwnicy nie umiela strzelać. W polu — owszem, dobra drużyna, lepsza niż nasza, lecz na polu karnym znakomici goście albo traciли piłkę, albo zweekali ze strzałem, wdając się w zbyt skomplikowane i bezproduktywne kombinacje.

Dopiero później dowiedziałem się od widzów, a nie telewidzów, że nasze wrażenia były mylne. Goście tak rzadko strzelali, gdyż po prostu polscy obrońcy utworzyli bardzo szelny mur zastępujący rolę bramki. Nie było sposobu strzelać! Nasi nie tyle dobrze kryli, lub używając włoskiego terminu o znaczeniu szerszym stosowali słynne „cantonaccio”, lecz po prostu zastaniali własnymi ciałami bramkę. Dlatego goście tak męczyli się, męczynie szukając luk. Lecz tego telewizja już nie pokazała. Kamery przyciągały. Dlatego ucieka obraz rozstawił zespołów i cała nowa specyfika szuku, w jakim ustawiają się gracze. Sens współczesnego futbolu staje się dla przeciętnego odbiorcy nie doś jaśny.

Ktoś, kto naprawdę lubi sport i zna się trochę na nim, jeśli wielka

impieza odbywa się w jego mieście, na pewno woli moknąć na deszczu i siedzieć wysoko na dalekim od boiska miejscu, niż tkwić o trzy kroki przed telewizorem. Idzie o współuczestniczenie, o wtopienie się w atmosferę, jaka panuje na stadionie.

Nie będę analizował i oceniał jakości narracji słownej sprawozdawców występujących w naszej telewizji. Pozostawiam całkowicie na uboczu tzw. fonie, by zająć się wyłącznie tym, co widzimy na ekranie, czyli pomówimy o tzw. wzgl.

Siedzimy w wygodnym fotelu we własnym mieszkaniu, albo na brzeżku krzesła w zaitoczonej, świetlicy i pozeramy wzrokiem szklany prostokąt wudowany w drewnianą skrzynię. Szukamy emocji, sprawdzając jednocześnie własną wiedzę z zakresu futbolu, a ponieważ telewizja stała się już czymś nad wyraz powszeźnym, nikt nie zastanawia się nad jej cudotwórstwem. W miarę rozwoju akcji na boisku, w miarę, jak staje się coraz bardziej ciekawa — zaczynamy również zapominać o tym, jak ją nam niewidzialny, ale przecież zycyliwy i starający się realizator pokazuje. Bowiem im lepsza praca kamer, im lepiej wszystko widzimy i rozumiemy — tym mniej zastanawiamy się nad rzemiosłem realizacji. Zwracamy nań dopiero wtedy uwagę, gdy mankamenty realizacji zaczynają nam dokuczać. Oto poszedł niespodziewany, a szybki strzał na bramkę i kamera nie nadążyła. Nie widzimy parady bramkarza. Piłka już spływa po siatce na ziemię. Już po wszystkim.

W takim wypadku ktoś jeszcze poza bramkarzem (jeśli strzał był do obrony) — także powinien błąd. Realizator. Nie przekazał bowiem ważnego szczegółu widowiska.

Innym razem kamery gonią za graczami prowadzącymi piłkę. Mamy akurat fragment gry nieco poszarpanej — i w rezultacie na ekranie panuje jeszcze większy chaos niż na boisku. Nie wiemy, w jakim miejscu toczy się akcja, jak daleko znajduje się piłka od bramki. Widzimy za to tylko twarze, albo plecy graczy, skrawek boiska, jakiś

fragment trybun, lecz w istocie rzeczy nie daje nam to nic.

Chyba najbardziej denerwujące dla widza jest tzw. piękne kadrowanie. Realizator zapomina, że jest przede wszystkim reporterem mającym obowiązek wiernie przekazywać wydarzenia piłkarskie po prostu, bez żadnych upiększeń. Te wszystkie zagładania w plecy bramkarza spoza białych kratek siatki są nam na dobrą sprawę niepotrzebne. Telewidz chce patrzeć na mecz tak, jakby siedział w dobrym miejscu na trybunie. Ostatecznie, gdy patrzmy na piłkę nożną będąc na stadionie, a nie w domu, nasz punkt widzenia na boisko jest tylko jeden i wciąć taki sam. Telewizja nie może tego spuścić. Powinna nam za to pomagać i zastępować najznakomitszą lornetkę. Przecież przybliżyć nam w niezrównany sposób aktywność widowiska. Rzecz w tym, aby robiła to tylko wtedy, kiedy jest to naprawdę potrzebne.

Sądzę, że właśnie latem 1966 r. realizatorzy brytyjscy dali w czasie piłkarskich mistrzostw znakomity pokaz w pełni świadomego rzemiosła. Podstawą obrazu był jednak plan daleki. Gospodarze nie martwili się, że sylwetki graczy są małe, ale, że piłka niczym punkcik. W dalekim planie toczyły się te wszystkie piękne mecze. Nasz wzrok obejmował całą szachownicę. I tak już wystarczająco sągmatwany tryk bołowy, w jakim walczy współczesna drużyna, właśnie dopiero z dalekiej perspektywy stawał się dla odbiorcy bardziej przejrzysty. Były to widowiska przedstawione rzetelnie, bez upiększeń, w całym tego słowa znaczeniu — jeśli tak można wyrazić się: „funkcjonalne”, znaczy służące przede wszystkim poznaniu, a potem dopiero estetycznym doznaniom.

To trochę przypomniało film angielski — budowany na ogół prosto i konsekwentnie. Fotografowany z pewną dozą surowości, lecz bez maniery na pierwszym planie. Realistycznie, ale i z jakimś marginesem dla osobistych skożeń. Kamery nacelowane na główne ognisko walki. Wokół przestrzeni boiska i zmagające się drużyny. Dopiero kiedy z chaosu, albo porządku gry wyłonił się mocno łatwy akcent, wówczas kamera podtrębiała go szybko i wyraziście. Ktoś strzelił na bramkę — już dają duże zbliżenie bohatera chwili! Ktoś sfalował — albo wygrał pojedynek o piłkę, ucieczył się, lub rozłożył — znów aparatura natychmiast przybliżyła nam te postacie do oczu. Na taką chwilę, jaka

była potrzebna. Bez dłużyzn. Zobaczycie go? Wystarczy. My musimy się spieszyć! Tempo! Każda sekunda droga! Wszak oni walczą o mistrzostwo świata!

Telewizja brytyjska jest przy tym dyskretna. Nie pokazuje w istocie rzeczy pociesznych przecież twarzy widzów z rozwartymi do wrzasku ustami. Stara się przekazywać wzruszenie tłumu przeważnie jako zbitej masy. Czasem tylko widziliśmy krótki przejazd po wojowniczych transparentach, po flagach powiewających nad sektorami trybun. Realizatorzy wybierają sobie trudny „leitmotiv” jako podkład dla gry, jako charakterystykę nastroju. Kiedy grała drużyna Pelego, często pojawiał się na ekranie młody człowiek wystukujący radosny, albo dramatyczny rytm na bębnie. W zależności jak jego zespołowi się wiodzie.

Potem młodzieńiec znikł. Brazylia także przestała grać.

Przyznam, że tylko raz jeden odczułem brak pewnej prebitki trybun, która byłaby oczywiście nad wyraz nietakowna. Cóż, ciekawość — ludzka rzecz. Gdy w ostatnich sekundach finału Niemcy wbił Anglikom wyrównującego gola, przez krótką chwilę byłem ogromnie ciekawy (a chyba nie tylko ja?) zobaczyć królową Elżbietę. Jus w samej tej chwili krył się na pewno okropny śmoking. Ja go popelnilem, ale realizatorzy oczywiście nie. Tryk wyobraźnia mogła podsunąć obraz spokojnie siedzącej kobiety, niezmiennie lekko uśmiechniętej z zainteresowaniem takim — na jakie mecz piłkarski zasługuje.

Ale tego już nie widziliśmy na ekranie w momencie strzelenia bramki przez Niemców. Chyba jednak tak to wyglądało. Ciekawość moja była więc zbyteczna.

Niektóre kadry wielkiego teatru sportowego w TV — same, niejako bez intencji realizatorów, zmieniają się w sekwencje pełne patosu. Zaczęta ale i dostojna walka radzieckiego bramkarza o piłkę w gąszczu nóg i ciał. Szalone, pełne euforii gesty czarnego piłkarza, kiedy zdobywał gola. W jego ruchach kryło się coś chłopięcego i dzikiego zarzem.

Wreszcie epilog dramatu. Chyba pamiętamy? Do łoży królewskiej wstępują obie drużyny. Etykieta dworska była w tym wypadku zła-

mana. Przyszli do królowej brudni i spoceni. Staniali się, gdyż byli już na wpol przytomni z wyczerpania. Gięły się pod nimi kolana, choć szli z dumą.

Scena, gdy królowa dziękowała mokrym od potu młodzieńcom, mogła skojarzyć się z czymś już odległym i dawno przebrzmiałym. Szranki rycerskie na podwórku. Wtedy także po walce przychodzili do królów śmiertelnie zmęczeni, okryci pyłem — no i krwią.

Gigantyczny festiwal telewizyjno-piłkarski latem 1966 roku poza doznaniem natury sportowej i hazardowej, poza wzruszeniami estetycznymi, poza wreszcie wielką lekcją dla milionów, jak gra się w piłkę, był także wzmocnieniem jak pokazywać sport w TV. Oczywiście była to lekcja zawężona tylko do jednej gałęzi sportu — i może zaskocze czytelnika po tylu pochwałach — gałęzi sportu stosunkowo łatwej dla pracy wzgl i fonii. Są inne sporty trudniejsze do pokazywania i przekazywania za pośrednictwem narracji słownej i obrazu. Te osobny temat. Zastrzegłem się wszakże, że nie cuję się jeszcze na siłach, by temat podejmować w całej jego pełni.

Nie wystarczy chodzić na każdy mecz, znać nazwiska i sylwetki graczy, składy drużyn i wiedzieć, co to jest spalony. Trzeba jeszcze umieć patrzeć na sport. Nie tylko idzie o dostrzeżenie w nim innych wartości niż wynik. Ważna jest umiejętność wyczuwania tego, co naprawdę dzieje się na boisku, co może stać się.

To już sfera niemal irracjonalnych przeczuć.

Odbывают się zawody. Błapem gorzej zaczyna wygrywać! Dlaczego? Innym razem dokonuje się jakaś dziwna przemiana w rozwoju dramaturgii. Tajemnicze fluty jakby krążyły na stadionie, tam w dole. To jest źródło niespodzianek, sensacyjnych zwycięstw, nieoczekiwanych porażek. Znam ludzi, którzy umielać takie wypadki, zapewne najcięższe w całym sporcie, nieomylnie dostrzegając czy raczej przeczuwając.

Takich ludzi najchętniej słucham, kiedy mowa jest o sporcie. To są prawdziwi znawcy.

Bohdan Tomaszewski

# Refleksje o wasacji i peruce

Mirosław Derecki

**P**OMOŻCIE teatrowi amatorskiemu dopracować się jakiegoś właściwego oblicza! To dość tragicznie brzmiące wołanie usłyszałem podczas seminarium dydaktycznego dla członków i instruktorów teatrów amatorskich, zorganizowanego z okazji imprezy „Teatr Robotniczy — ludzimi pracami” w klubie „Relaks” w Lublinie. Wszystko zaś odbywało się w ramach dość rzytmicznej — jak dotąd — wojewódzkiej Sceny Amatorskiej, mającej za zadanie dawać przegląd co ciekawszych zespołów amatorskich z województwa. Wśród piramidy instytucji patronujących zespołom amatorskim w województwie, wiodącą rolę odgrywa Teatr Wojewódzki Oddział Związku Teatrów Amatorskich, on też wystawia najświetniejszą drużynę oficjalną. Inni mniej się interesowali imprezą, ale nie to w tym artykule jest rzeczą najważniejszą.

Przytoczę tu na początek wolanie rozległo się, być może, na skutek dość nieoczekiwanego spisu, jaki dał tw. zagadnienie dydaktyczny wyrostki kierownik artystyczny Teatru im. J. Osterwy, Kazimiera Braun. Zanim jednak co, konieczne jest zaprezentować występujące zespoły i ich repertuar. Zobaczyliśmy czterech teatrów działających przy lubelskim „Lubgaju” wystawili „Kamienie na Kamiu” J. M. Giszsa, zespół z Zakładów Miesnych w Zamościu dał „Zdaniecie „Ozenuk” Gogola, zespół ZDK w Krasniku Fabrycznym wystąpił z „Oknem w lasie” L. Bachmanowa i E. Hysa, teatrzyk z Abramowic zaprezentował rzecz „Beethoven, nieboszczyk i inni” Miry Pawłowej.

Każdy zespół na innym poziomie: od zupełnie surowego „Lubgaju” przez (na sposób tradycyjny) „zgrębną” teatrzyk z Zamościa, po „poszukujący wyrazu” zespół z Abramowic, każda satuka z innego podwórka: od dydaktycznego Giszsa po „pure-filozofująca” Pawłowa. W sumie — dość obiektywny zapis tego, co się dzieje w amatorskim ruchu teatralnym (występujące zespoły), bo to zupełnie inna sprawa. Ten „zarys” bez wątpienia przeraził p. Kazimiera Brauna, który wystąpił z całym portretem nurtujących go problemów. Warto im się przyjrzeć, choćby z tej przyczyny, że reprezentują pogląd zawodowca, to znaczy człowieka, którego idea ruchu amatorskiego jest dość obca (ale niejednokrotnie mającego wpływ na ruch amatorski) i który choćby z profesyjną patryz na sztukę na ogół przez szkło powiększające, nie zważając na szereg dodatkowych atrakcji, jakie daje... towarzyszenie jej.

**P**RZYJMUJĄC się, że wywoły p. Brauna kojarzyły mi się chwila z dziewczynkami harscerskiej podwórki nawołującej do zdobywania sprawności z rapera” albo „trzech piór”. Takie to wszystko rozwinięte wola dobrych uczynków i salachetnych celów.

Otóż, żeby od razu zacząć od sprawy najbardziej brudnej i niegodnej truchu amatorskiego, oczyszczyć, w tym, że właściwie to ja również jak i p. Braun bardzo cierpię z powodu tkwiącego we mnie atawistycznego przekonania, że ruch amatorski coraz częściej wysila się z pieniędzy, że daje się zauważyć proces „instytucjonalizacji” zespołów amatorskich, że niektóre z nich przekształcają się w rodzaj „instytucji kulturalnych” posiadających roczne plany przedstawię, zaplanowane „wyjścia w teren” oraz „preliminacje kosztów”, a wszystko to idzie w parze ze słabym często poziomem artystycznych produkcji. Tylko, co na to poradzić w dzisiejszej rzeczywistości? Kusociński biegł kiedyś tylko dla idei, ale za to biegł dość rzadko, bo i stadionów w Polsce nie było za dużo i ludzie nie przyzywały, nie chodzili tłumnie patrzeć na sport. Dzisiaj kadrowiec dostaje dodatkowy wynagrodzenie, bo nie dość, że przy „strubowaniu” wyników nie ma czasu na bywanie w miejscu pracy godzin nadliczbowych (dla chleba), to musi jeszcze występować ciągle jako aktor na sportowych spektaklach. W dawnym Zamościu „Dzieci Maryi” wystawiali raz do roku „Szopkę” na plebanii i wszyscy byli zadowoleni. Dzisiaj teatr amatorski z Zamościa robi na przykład „Ozenuk”, wyjeżdża z nim „w teren” to znaczy na wieś, gdzie rzadko dociera nawet autobus z akcji „Więź bliżej teatru”... i daje tę przedstawienie w ciągu roku. Oczywiście na wsi jest telewizor, ludzie oglądają donadane swoje takie Teatru TV. I w końcu, dlatego chcą tym bardziej zobaczyć „tywy teatr”. Nawet o trzy nieba gorzej. Nie wiem, czy członkowie zamajskiego zespołu otrzymują jakaś symboliczną rekompensatę (poza ambicjonalną, ma się rozumieć) za swa prace, ale gdyby tak było, ja staraliby się ich rozgryźć w swym konserwatywnym sumieniu.

Co na to poradzić, że dzisiaj zapotrzebowanie na sztukę nijak nie może się pogodzić z jej „zawodową” bazą? Może więc właściwie jest miejscami rezygnować z idealów, miejscami stawiać na półroczki...?

**A**CO z repertuarem? Co młodzi ludzie chcą na przykład powiedzieć przez wystawienie (niezbyt ciekawego przykładowo) „Ozenuk”? Dlaczego przyklejają sobie wasy, nakładają peruki, przywdziałają często niezgodny z epoką kostium? Czy nie lepiej, jeśli już muszą wystawiać sztukę, wziąć na warsztat repertuar współczesny? Tam przynajmniej nie musieliby „robić się” na nieprzekonywujących starszok... Teatr amatorski mogłoby być jeszcze lepsze od zawodowych, gdyby brały np. przykład z dawnego warszawskiego STS... — marzył p. Braun...

Obawiam się, że nie weźma. Bo to diabeł trudna sztuka. Nawet STS-owi nie udało się pociągnąć długo na tym koniu, a wszak grupował się tutaj tak zwany intelektualny kwiat młodzieży polskiej.

Przebieżny zespół amatorski (a o takim przecież cały czas mowa) nie grupujący prawdziwie twórczych jednostek (bo wówczas przestaje być zespołem przynajmniej „typowym” amatorskim) bierze

(Dokończenie na str. 11)

W teatrze kieleckim

# Stary „Rewizor” wciąż aktualny

Tadeusz Wiącek

**T**EATR Ryszarda Smożewskiego to pojęcie znane już każdemu wytrawnemu miłośnikowi tej gałęzi sztuki. To właśnie on był przed paroma laty założycielem kieleckiego Teatru Dziennikarza i Aktora, scenki, która pierwsza zaproponowała u nas wroczenie do teatru publiczności i reportażu. Ten rodzaj twórczości kontynuował potem Smożewski w krakowskim Teatrze Rozmaitości, gdzie wystawił m.in. (również publicystyczną) sztukę „Dallas w samo południe”. Zawsze jego zainteresowania obracały się w kręgu współczesności. Z tym większą ciekawością oczekiwano na pierwszą reżyserką próbę Smożewskiego w klasycie.

Sięgnął bowiem po „Rewizora”, sztukę napisaną przed stu pięćdziesięciu laty, która rozślawiła jeden z największych talentów dramaturgii rosyjskiej, Mikołaja Gogola. Zadanie to z pozoru wydawać się może karkołomne. Ież to razy „Rewizor” był już wystawiany w naszym kraju — od krakowskiej inscenizacji w 1859 r. do pamiętnej premiery z roku 1952, kiedy to za rolę Horodniczego Jan Kurnakowicz otrzymał Nagrodę Państwową I stopnia. Mieliśmy już różne propozycje inscenizacji tej sztuki — od realistycznego przedstawienia warszawskiego, czy wrocławskiego, po eksperymentalne i kontrowersyjne przedstawienie Szajny w teatrze nowohuckim.

Rozmaicie można dziś interpretować „Rewizora”. Jako komedię nasyconą cynizmem, jako wybuch uderzającej satyry, farsę lub dramat małego człowieka zaplątanego w sieć nieskomplikowanych zresztą intryg. Smożewski wybrał koncepcję chyba najwierniejszą pierwotnemu literackiemu. Zaproponował żywą, soczystą, wypełnioną niewymuszonym humorem komedię, gdzie głośny śmiech jest przerywany momentami refleksji i zadumy.

Najbardziej interesujące jest tu ustawienie samej postaci Chlestackowa. Smożewski nie prezentuje Rewizora jako człowieka inteligentnego, spryciarza, który umiejętnie wykorzystuje szansę daną mu przez głupich, podłych i zakła-

many jednocześnie mieszczan. Jego Chlestackow nie jest też farsowym cymbałem. To po prostu mały człowiek, niezbyt mądry, ale z darem obserwacji, mało inteligentny, w gruncie rzeczy prostoduszny. Chlestackow jest człowiekiem uczciwym, otoczonym przez większych i mniejszych szubrawców. Tylko na skutek pijackiej euforii pozuje przed nim na dygnitarza z Petersburga i bierze od nich łapówki po to, by z triumfem wrócić do rodzinnej wsi. Jego poza jest zresztą niemal nie maskowana — kilkakrotnie powtarza przecież, że wraca na wieś. Jest uczciwy nawet wtedy, gdy skacowany bierze łapówki od podlizujących się urzędników.

W inscenizacji tej kulminacyjnym dla całej sztuki momentem stała się scena, gdy rozgniewany szalem łapówkarstwa Chlestackow przyjmuje Dobczyńskiego i Bobczyńskiego. Ten ostatni wręczając mu 65 rubli prosi, żeby Rewizor jedynie wspominał tam, w Petersburgu, że w tej zapadłej mieścinie mieszka niejaki Bobczyński. W tej samej chwili Chlestackow zdaje sobie sprawę, że popelnia podłość. Chce oddać otrzymane pieniądze, ale Bobczyńskiego już nie ma.

Scena ta ma ogromny wpływ na następne. Chlestackow jak by rezygnował z agresywnej zabawy w naciągacza. Ale wtedy na arenę wydarzeń zdecydowanie wkrocza Osip, jego sługa. On załatwia pozostałe łapówki, które Chlestackow przyjmuje niemal machinalnie. Teraz tylko w jednej scenie — uwodzenia żony i córki Horodniczego — będzie znów bawił się w światowca z Petersburga. Zapomni nawet o wyjeździe. Ale wówczas czuwa już nad nim chytry Osip.

Reżyseria spektaklu nie wzbudza poważniejszych zastrzeżeń. Po nieco rozległym prologu akcja rozwija się potocznie, nabierając coraz większego tempa, by wreszcie dojść do świetnie wygranego i niezwykle pomysłowego finału, sugerującego już niedwuznacznie związek sztuki ze współczesnością. Inszenizacja nie ma jednolitego charakteru. Jest tu przemieszanie elementów komedii charakterów, farsy, a odnaleźć można także szczyptę autentycznego



„Rewizor”. Scena zbiorowa. Fot.: Fr. Myszkowski

tragizmu. Z taką koncepcją inscenizacyjną można się zgodzić lub nie, ale przynajmniej trzeba, że zrealizowano ją w sposób bardzo konsekwentny. Zresztą sztuka Gogola jest utworem skupiającym w sobie taką rozpiętość gatunków teatralnych, że można w niej doszukać się elementów „comedy dell'arte”, jak i teatru... Ionesco (postać Doktora).

Nie obyło się jednak bez drobnych, marginalnych nawet potknięć, choćby niektóre kwestie wygłoszone przez aktorów do widowni. To prawda, że taki efekt powoduje większą łączność sztuki z publicznością. Ale jeśli używa się go kilkakrotnie, zabieg ten przypomina nie najlepsze wzory teatralne sprzed bardzo wielu lat. Niepotrzebne są również takie i niezasadne fragmenty farsowe, jak np. czyszczenie na proscenium trąby za pomocą szcztolki na długim kijku.

Te drobne uwagi nie mogą jednak wpłynąć na ogólną, wysoką ocenę reżyserii Smożewskiego, w której skrzy się od nowych, dowcipnych, aktualnych pomysłów.

Bardziej nierówna jest scenografia Jana Golki. Świetny jest pomysł z zawieszeniem nad sceną złotych kopuł cerkiewnych, ciężających absolutnie nad rosyjskim wstecnictwem XIX wieku. Z kolorem kopuł znakomicie komponują dwa fotele w mieszkaniu Horodniczego, symbolizując wspólną władzę świecką i duchowną. Ale do wyraźnych błędów scenograficznych zaliczyć należy nieuzasadnioną obecność na scenie kłatek z żywymi królikami, które zresztą mogą się podobać najmłodszemu widzowi. Tylko, że tacy nie przychodzą na „Rewizora”. Zbędne są również trzy samowary (w tym jeden monstrualnych rozmiarów),

tym bardziej, że zupełnie nie wykorzystane w akcji. Wątpliwości może budzić także ikona w pokoju Chlestackowa, która wyobraża bardzo polski w stylu obraz św. Antoniego. Nawet jeśli miał to być akcent zbliżający rosyjską sztukę do warunków polskich, to zaabramianem w dysjonansie w całości realistycznej (a więc bardzo rosyjskiej) koncepcji inscenizacyjnej.

Aktorzy zaprezentowali w większości wyrównany poziom. Doskonale uchwycony w typie Tadeusz Brich w roli Chlestackowa tworzy przekonująco postać bohatera. I choć nie jest to rola blaskotliwa, dokumentuje rzetelną pracę aktora nad sobą. Ponieważ jest to jego pierwsza większa rola, można mieć nadzieję, że w przyszłości Brich zaprezentuje jeszcze pełniejszą dojrzałość aktorską. W rolach epizodycznych (Dobczyński, Bobczyński) wyróżniła się para młodych aktorów — Jarosław Strzemień i Zbigniew Horawa. Natomiast niepotrzebnie zawęził rolę Horodniczego Stanisław Moskalowicz, który nie wydobyl z niej całej gamy psychologicznych nianów. Był to Horodniczy wrzeszczący i nieustannie zdenerwowany — a to za mało. Również Edward Kuszał w roli Osipa nie poradził sobie do końca z tą postacią. Był bezbarwny i przytłoczony nawet zupełnie epizodycznymi postaciami.

Kielecki „Rewizor” nie zapisze się dużymi literami w historii inscenizacji tej sztuki w Polsce. Ale w rozwoju reżyserkim Ryszard Smożewskiego stanowi na pewno pozycję ważną i pod wieloma względami udaną. Ponadto przedstawienie cieszy się dużym powodzeniem u widzów. A to jest w końcu najważniejsze.

W teatrze lubelskim

# „Niemcy” po 19 latach

Maria Bechcyc-Rudnicka

**J**AKKOLWIEK by się dziś „odczytywał na nowo” „Niemców” Kruczkowskiego, nie wyczyta się z nich nic poza tym, co w problemie niemieckim i uniwersalnym zagadnieniu społeczeństwo-władza dostrzegal, przeanalizował, przewidywał sam pisarz. Sprawa jest chyba jasna, zrobimy jednak na wszelki wypadek małą rekapitulację.

Blisko dwadzieścia lat temu, z okazji pierwszych premier sztuki, zdefiniował Leon Kruczkowski swoje stanowisko takim oto sformulowaniem: *Należy dostrzec w społeczeństwie niemieckim zwykłe społeczeństwo cywilizowane, podobne do innych. Społeczeństwo to jednak w określonych warunkach historycznych zostało przez określone siły społeczne, klasowe, przez określony system ideologiczny, odpowiednio spreparowane, urobione w sposób, który doprowadził do tego, co widziliśmy podczas wojny...*

Nadając temu założeniu kształt artystyczny ukazuje Kruczkowski Niemców w ich własnym środowisku, gdzie ujawniają się rozmaite ich postawy wobec rzeczywistości hitlerowskiej. Te dwa akty, których akcja toczy się w domu rodzinny typowej dla przodującej mieszczańskiej inteligencji epoki, są niejako komentarzem obrazów aktu pierwszego, demonstrowujących zachowanie się Niemców na terenie trzech różnych krajów okupowanych. Wypowiedzi członków rodziny profesora Sonnenbrucha pozwalają dostrzec do sedna owego „spreparowania” społeczeństwa niemieckiego — do warunków, które w ciągu szeregu lat umożliwiły działanie mechanizmu reżimu hitlerowskiego. I nie pozostaje wątpliwości, że opierał się on nie

tylko na sadystach i spekulantach politycznych, lecz w ogromnej mierze na współdziałaniu lub biernej postawie milionów rodzin Sonnenbruchów.

W punkcie kulminacyjnym tego toku rozumowania znajduje się pojęcie odizolowania się profesora Sonnenbrucha od rzeczywistości, jego stokerów cytowanego „odwrócenia się plecami do życia”. Otóż z chwilą, gdy dotarliśmy do tej pointy ideologicznej, zdecydowanie już przestajemy traktować „Niemców” jako sztukę rozrachunkową, sztukę historyczną, a nawet bodaj jako sztukę aktualną, lecz aktualnością zawężoną do problemu niemieckiego. Ponadczasowy problem „postawy intelektualisty wobec walki politycznej” nadaje sztuce Kruczkowskiego aktualność nieprzemijającą.

Reżyser nowej lubelskiej inscenizacji „Niemców”, Jerzy Wróblewski, taktownie zrezygnował z tzw. „przybliżania treści do widzów”, najpełniej, jak widzimy, zbędne. Dramat ten odtworzony wiernie staje się i bez postronnych zabiegów modernizacyjnych punktem wyjścia do rozważań widza głębszych niż przed dziesięć laty — nad światowym problemem następstwa społeczeństwo a władza, władza a społeczeństwo. Widz, uwrażliwiony doświadczeniami dwudziestolecia powojennego, samorzutnie nawiązuje do ostatnich przemysłów Leona Kruczkowskiego w „Śmierci gubernatora” do konfliktów Mroźka, Rózewicza, Dürrenmatta...

Wystawiono „Niemców” w Teatrze im. J. Osterwy po raz wtóry na jubileusz 45-lecia pracy artystycznej Eleonory Frenkiel-Ossowskiej, o której zasługach pisaliśmy w 4 numerze „Kamień”. Jubilatka wystąpiła w roli Pani

Soerensen, zdobywając, jak w r. 1950, wielki sukces subtelnie nakerconą postacią matki więźnia gestapo. Godność patriotki, przy musowa potulność petentki wobec SS-manna decydującego o losie jej syna, z trudem hamowane wybuchy rozpacz, błyskawicznie improwizowana taktyka — wszystko to w scenie Ossowskiej wywoływało silną reakcję emocjonalną na widowni.

W ogóle wyłoniono dla „Niemców” z aktualnego zespołu Teatru Osterwy optymalną obsadę, jak to słusznie stwierdziła w słowie dziękczynnym jubilatka, Profesora Sonnenbrucha grał Aleksander Aleksy — jego szczerzy talent i nabyta w ciągu długoletniej kariery scenicznej technika aktorska nie wymagają prezentacji. Postać Sonnenbrucha, wyniosłego, wyobcowanego z otoczenia na początku II aktu, potem zdruzgotanego swą kłeską moralną, może Aleksy zaliczyć do najszybciej swoich osiągnięć. Bertę grała Maria Szczehówna, która nareszcie doczekała się roli w pełni godnej jej nieprzeciętnego kunsztu i talentu. W finale dramatu, po ciosie, jaki spadł na rodzinę Sonnenbruchów, łagodni artystyka sztywną postać zaletreziwionej szwinistki akcentami bólu, kobiecej słabości, poczucia osamotnienia.

Specjalnej uwagi warta jest koncepcja postaci Willego, zyskującej na odcieniu od szablono SS-manna — jaskiniowca. Krzysztof Ziembinski umiejętnie łączy cechy, którymi obdarzał młodzieńców niemieckich system wychowawczy Hitlerjugend — z rysami studenta wydziału sztuki w Getyndze i „delikatnego”, prymitalnego synka małżonki Sonnenbruchów. Tylko jakaś smuga „kompleksu Ejdypa” w scenie z matką niepotrzebnie zciemnia zasadniczą sprawę „ubrobienia” społeczeństwa propagandą hitlerowską.

Zupełnie bezbłędnie utrafiła Maria Karcchowska w słowrogą monomanię odwetu rządząca postępkami Liesel, natomiast najmniej zdołana i intencyjami autorka wydaje się postać Ruth, interpretowana przez Danutę Rastawicką. Swego czasu krytyka teatralna upatrywała w Ruth, reprezentującej w kontekście „Niemców” świat artystyczny, cechy „konietu Ibsenowskich”. Tak czy inaczej, jest Ruth niewątpliwie kobietą zasadniczą. Jej nagły, śmiały czyn wynika z nakuasu jakiejś, powiedzmy, estetyki moralnej — z kodeksu romantycznego. Danuta Rastawicka gra inteligentnie, wywołując się niemałymi osiągnięciami warsztatowymi, lecz kiedy mówi, że „ma moralność wyłącznie na swój użytek” — że chce „mocno zwrócić słowa te brzmią obco w uszach postaci

stworzonej przez aktorkę. Sądzę, iż rozróż między „młodocianie” dorotliwą postacią sceniczną a wizją pisarza pochodzi z konieczności naglęcia roli do dyspozycji Danuty Rastawickiej, które nie predestynują jej (może na razie) do tej roli.

Ważną postacią przedstawiciela niemieckiego podziemia antyhitlerowskiego, Joachima Petersa, wydawała się dziewczętnością lat temu nieco papierowo pozytywna. Dzisiaj widz, oswojony „ciężką” sztuką współczesnym, z intelektualizowaniem postaci, widzi Petersa innymi oczami. Ulatwiło to zadanie Andrzejowi Galdzie, prowadzącemu dyskurs z profesorem Sonnenbruchem żywo, jak by powiedział śpiewak — na diafragmie.

Bardzo wyraziście pokazał Jerzy Smyk zandarma Hoppego, „uczciwego Niemca” w przymusowej sytuacji. Również jako człowieka w przymusowej sytuacji, choć zgola odmiennie, prezentuje Jurysia Stanisław Stojko tuszując jego natógowy pośląg do alkoholu.

Zapisuje się trwale w pamięci Volksdeutsch Schultz, którego gra Andrzej Chmielec. Mam wrażenie, że Chmielec nurtuje ostatnio problem precyzyjnego zfilu postaci drugoplanowych. Zainteresowanie dla małych ról, którego klubowym wynikiem był Wierus kreowany przez Sołskiego, zasługuje na szczególne uznanie jako fenomen całkiem wyjątkowy w środowisku aktorów.

Jeszcze kilka zdań o epizodach.

Podkreślony chorczem właściciela kawiarenki, Tourtellet'a (nomen omen) era wernie Witold Lisowski. Na wysokości zadania stanął: Roman Kruczkowski (słuszyca Antoni), Piotr Brzeski (Urzednik), Witold Zaręcha (w niewdzięcznej roli Majora Wehrmachtu), Włodzisław Nowakowski (Gefreiter), Przemysław jest postawa Fanchette Ewy Ulasińskiej i dużo powiedziała o postaci lekkomyślnie Marii Juliana Lotie rozpaczywim śmiechem przed zapadnięciem kurtawy.

Chłopcy pod gwiazdą (Dziecko żydowskie i Syn Hoppego) spisał się na medal.

Po panujących dziś na scenie konwencjach surrealistycznych, ekspresjonistycznych itp. nietłoto nam przywyklić się od nowa do scenografii realistycznej, toteż wydaje mi się, iż oprawa sceniczna Janusza Warpechowskiego (którego na ogół bardzo cenię), nie przyczyniła się do uwolnienia „Niemców” od strony wizji scenicznej stosownie do aktualności ich treści. W reżyserii natomiast trzeba odnotować jako dobre pomysły wprowadzenie muzyki „międzyaktowej” nadającej inscenizacji barwę czasu oraz zdynamizowanie obrazu trzeciego migawkowym „polowaniem na ludzi”.

„NIEPOROZUMIENIE”

W nawiązaniu do notatki, która ukazała się w ostatnim numerze „Kamena” z dnia 18.II.1968 r. pt. „Nieporozumienie” — przejmując informację, że prawdopodobnie zaistniało istotne doświadczenie nieporozumienia, czego następstwem dotychczas brak całkowitego braku znajomości Statutu BWA oraz ignorancja całego szeregu przepisów ustanowionych i sprzeczności przez instytucję w całym kraju, które zajmują się organizacją wystaw plastycznych. Co do samego zarzutu, czy kierownictwo BWA nie uszczuplało powierzonej wystawowej — ekspozycyjnej wystawy artystów plastyków, członków ZPAP Warszawy i Krakowa na osobach Hanny Paluskiej i Jana Brudzińskiego — uświadomiliśmy sobie autora upokorzyć w jego trosce, że nie, gdyż powierzenia wystawowej w m. Lublinie w ostatnich okresach została poważnie poszerzona o inne lokale placówek kulturalnych. Co zaś dotyczy polityki i harmonogramu wystaw w salach BWA — zostały te sprawy ostatecznie zatwierdzone w planie na r. 1968 — uzgodnionym z okragiem ZPAP, Wydziałem Kultury i CBWA w Warszawie.

Na marginesie ingerencji autora w wewnętrzną kompetencję BWA, pragnęliśmy przytoczyć notatkę Wiesława Brudzińskiego, który w ostatnim numerze „Szpilek” p.n. „Zmieszanie” czyni uwagę, z którą należy zapoznać również autora notatki pt. „Nieporozumienie”; cytując: „Krytycy robią czasami wrażenie, że bardziej im zależy na dokładnym adresie satyry niż na zawartości przesłany — jakby byli pracownikami poczty, nie kultury”.

Adam Kaczmarski

Kierownik

Biura Wystaw Artystycznych

A JA JESTEM PRZECIWN...

Na temat eksperymentów przeszeplania serca i trójka namietna dyskusja. Różne padają głosy: za, przeciw, Wiczy, wyraża zastrzeżenia natury prawniej, etycznej i moralnej. Mnie osobliwie niepokoi ten zbyt wielki huk wokół tej sprawy, ta spontaniczna reakcja na niezwykłość. Dziwne to zjawisko, bo właściwie nie dostrzegamy całej masy powalających spraw życia codziennego, przechodzących koło nich obojętnie, a emocjonalnie nas dotykających, niecodziennego, coś ekstra, utwórki, coś, co daje mocną przecznicę, co budzi szok. Czyżby wojna, faszyzm, ludobójstwo, obozy zagłady stepły naszą rzeczywistość na przejawy życia normalnego? Czyżby również stepły one teraźniejszość na cierpienie człowieka, na ból, na śmierć? Bo jak to zrozumieć też obojętność na przykład na fakt, że każdego roku na świecie giną miliony ludzi z głodu, a uważa się za problematyczny w efekcie fakt przeszeplania serca, co, uwzględniając wszelkie ubożne aspekty tej sprawy, może w przyszłości, w najbliższych okolicznościach, ratować życie niezlicznym jednostkom.

Dla dosadniejszego uzasadnienia tego dzisiejszego socjologicznie zjawiska nadmieniam, że mało kogo był zainteresował podany niedawno komunikat, że na Sumatrze zmarło z głodu kilkadziesiąt osób. Ważniejsze było życie dr Blahberg. A teraz drugi rys eksperymentu z przeszeplaniem serca. Rzecz zrozumiała, że medycyna szuka nowych sposobów przykucia człowieka choremu z pomocą roboty zastępczej, eksperymenty, ale czy musi eksperymentować metodą obcozwoznych królików? Ustawianie eksperymentu z przeszeplaniem serca w jednym szeregu z przeszeplaniem innych części ludzkiego organizmu uważam za nieodpowiedzialne, bo w tych innych przypadkach człowiek żyje, świadomie, pomaga drugiemu człowiekowi.

Trzeci rys dotyczy ogólnej sprawy eksperymentowania na człowieku. Dla mnie klasycznym przykładem eksperymentatora na człowieku był Pasteur. Z eksperymentem na człowieku nie uważa się za uczciwie, zanim nie osiągnął pewności powodzenia na zwierzętach. Był on człowiekiem, który zachował wrażliwość i powagę wobec sprawy, jaką jest życie ludzkie. Z wielką trwogą brał na siebie odpowiedzialność za życie tego pierwszego człowieka, którego zdecydował się ratować swoją szczepionką. Wiedział, że świat go potępi, że sam siebie potępi, jeśli eksperyment się nie uda, jeśli ten człowiek umrze. A przecież był pewny, że człowiek ten i bez tej próby umrze. Wynik eksperymentu dawał mu prawo być dumny, ale zachował powagę, bo rozumiał, że życie ludzkie nie może być przedmiotem, którym można postąpić się dla własnej przyjemności, dla zysku, dla reklamy. Takich uwag, niestety, nie można powiedzieć o eksperymentatorach z przeszeplaniem serca. Potraktowali go oni jako sztukę i dlatego można tu również zacytować słowa pisarza angielskiego, Evelyn Wangha: „W danych czasach eksperymentowano w sztuce, dziś eksperyment stał się sztuką”. Makabryczna sztuka.

Dziwi mnie również lokalizacja tych eksperymentów w dziedzinie sztuki. Może w ten sposób usiłuje się odwrócić uwagę społeczeństwa świata od bardzo ważnych zbrodni, które dzieją się dziś na jego oczach?

Stanisław Puch

TRAWNIKI K. LUBLINA

„MINI”

Pan Kazimierz Grześkowiak, nowo połączony na ostatniej stronie „Kamena”, nie dowiódł się, że w dniu, jeśli zdecydował się napisać tocale obszerny felieton na temat nadużycia słowa „mini”. No cóż, nie zawsze ma się pomysły. Wydaje się jednak, o czym chciałbym poinformować autora felietonu, że w każdej epoce, w każdym roku, czy w czasie kilku miesięcy jakiegokolwiek słowa staje się modne, aby następnie umrzeć śmiercią naturalną, zastępuje je inne „kucyka”. Cóż w tym złego i trykującego? Niech pan Grześkowiak rozstrzygnie się dobrze po Lublinie, a tematów wartych felietonu znajdzie co niemiara. Może środowiska twórcze?

Edward Kozłowski

SWIDNIK

od BIEBRZY NO BIESZCZADY

BIAŁYSTOK

W Teatrze Dramatycznym im. A. Węgierki kolejna premiera — „Brat marnotrawny” Oscara Wilde’a. Reżyseria Zbigniewa Besserta, scenografia Wandy Czaplanki.

Ukazał się 6 numer „Kontrastów”, jedynonowej społeczno-kulturalnej wydawnicy przez białostockie Towarzystwo Kultury. Od marca jedynonowej wydawnicy staje się kwartalnikiem wydawanym przez RSW „Prasa”. Obecny numer „Kontrastów” zawiera liczne publikacje na temat historii województwa, bogato reprezentowany jest dział literacki. Interesująca szata graficzna — dzieło D. Labanowskiej.

W Białymstoku powstaje Muzeum Wojska będące oddziałem tutejszego Muzeum Okręgowego. Już w tej chwili w magazynach Muzeum Okręgowego zgromadzono około 700 eksponatów dla przyszłego Muzeum Wojska. Placówka otrzyma nowy budynek, w którym będą się mieścić sale ekspozycyjne o powierzchni 400 metrów kwadratowych, oraz sale wystaw okolicznościowych. Prace budowlane rozpoczną się jeszcze w tym roku.

Państwowy Teatr Lalek „Świerszcz” wystawia „Złoty klucz” K. Borysowej. Reżyseria Moniki Sznarskiej, scenografia Doroty Labanowskiej, muzyka Romana Czubatego.

Organizacja ZMW na Białostocznym zrzessa 45 tys. członków. Z te-

go 35 tys. dziewcząt i chłopców skupiają kółka wiejskie. Reszta to uczniowie różnych szkół zawodowych oraz studenci.

KIELCE

11 marca odbyła się w Kielcach zorganizowana przez redakcję „Kamena” dyskusja na temat statusu organizacyjnego i artystycznego teatrów dramatycznych w czterech województwach wschodnich. Ważni w niej udział przedstawiciele teatrów oraz krytycy teatralni.

W Teatrze im. S. Zeromskiego — premiera komedii-opery Ryszarda Smolewskiego i Jerzego Ukłel „Królewskie łowy”, „przeróbki” dzieła Wojciecha Bogusławskiego „Henryk IV na lożach”. Reżyseria i scenografia Jerzego Ukłel.

W związku z przypadającą w bieżącym roku 25 rocznicą pierwszych walk oddziałów Batalionów Chłopskich z okupantem odbyło się spotkanie byłych partyzantów, członków BCH. Wzięło w nim udział ok. 250 osób z całego województwa. Spotkanie zorganizował Wojewódzki Komitet ZSL.

„Mistrzami gospodźności” Kieleccy z okazji 1967 zostały miasta Szydłowiec i Pińczów. Brały one wraz z dwudziestoma innymi miastami województwa udział w konkursie na najlepiej gospodarzącą miejscowość (poniżej 10 tys. mieszkańców).

LUBLIN

W Lublinie zmarł mgr Kazimierz Bryński, pracownik Katedry Geografii Fizycznej UMCS, znany od lat w Lublinie jako autor szeregu inicjatyw mających na celu polepszenie warunków zdrowotnych w mieście M. Inicjował prace związane z organizowaniem ogrodu botanicznego UMCS na Stawinku, prowadził i wygrał wieloletnią kampanię o niedopuszczenie do rozbudowy lubelskiej stacji kolejowej na Wrotkowie, która to inwestycja stała by sprzecznością z projektem budowlanym zalewu zemborskiego — „pluc miasta”.

Zrzucony zabytkowy dworek modrzewiowy w ogrodzie botanicznym na Stawinku — dawna własność rodziny Kościuszków — zostanie odrestaurowany. Koszt renowacji wyniesie ok. 14 mln zł. W przyszłości mieścić się tutaj będzie dom pracy twórczej UMCS.

W salach BWA otwarto wystawę obiówów artystów plastyków z różnych regionów Polski — uczestników „Plenerów Białowiejskich” z lat 1965, 1966 i 1967. Młodzież lubelskich szkół artystycznych otrzymała nadesłane długo oczekiwany budynek internatu. Mieści się on przy ul. Plażowej. Zamieszkało w nim prawie 120 uczniów i uczennic liceów Sztuk Plastycznych i Muzycznej oraz podstawowej szkoły muzycznej. Koszt budowy internatu wyniósł 22 mln zł. Wkrótce w pobliżu rozpocznie się budowa gmachu szkół muzycznych.

Jak się zaczęło?

(Dokończenie ze str. 7)

wszystkim szkołom jako teren werbowania członków. Dawodzi tego fakt przynależenia paru uczniów do towarzystwa. Latwo również można stwierdzić, że w Szkole Departamentowej Lubelskiej kształcąca swych synów spora grupa współtwórców Instytutu Bibliopolicznego.

Zwrócili się również o poparcie do istniejących wówczas instytucji i organizacji, przede wszystkim do łoży wolnomularskiej pod nazwą „Wolność Odzyskana”. Od pierwszej chwili członkami łoży i to piastującymi wysokie godności byli Andrzej Smolikowski i Kajetan Morykoni. W dodatku jednym z najczynniejszych lubelskich masonów był wspomniany już Klemens Urnowski, działacz społeczny, wielki przyjaciel szkoły i młodzieży, bibliofil. Na 43 członków towarzystwa Instytutu Bibliopolicznego powołanego w celu zgromadzenia kapitału zakładowego, członków łoży wolnomularskich było 23. Stąd zapewne w wielu autorów zrodziło się przekonanie, że Instytut Bibliopoliczny jest dziełem masonów. Blższe poznanie zagadnienia pozwala mieć nieco inny pogląd na tę kwestię. łoży wolnomularskie składały się przeważnie z wojskowych i ziemiaństwa. I jedni i drudzy byli ludźmi zamożnymi. W swoich domach posiadali książki, ale traktowali je jako przedmioty zbytku, ozdobę salonów. Gdyby jednak nie poparli finansowo cennej inicjatywy lubelskiej inteligencji — do utworzenia Instytutu pewnie by nie doszło.

Z wydatną pomocą pośpieszył też Dozór Szkolny Departamentu Lubelskiego, składający się z przed-

stawicieli miejscowych władz i społeczeństwa. O zaangażowaniu jego świadczą może i to, że Instytut umieszczono w pałacu Adama Umieńskiego, przy ul. Królewskiej 17 (obecnie siedziba Sądu Powiatowego).

Zgłoszono 128 akcji, z czego tylko 75,5 zostało zrealizowanych. Znany właściciel akcji opłaconych, publikowała je szkoła w swoich sprawozdaniach. Niewiadome są natomiast osoby, które swój akces zgłosiły, ale i na tym przestali. Towarzystwo wyłoniło zarząd, którego skład nie jest nam znany. Można się tylko domyślać, że jego aktywnym członkiem, a może i przewodniczącym, był Morykoni. Funkcję bibliotekarza pełnił niejaki Szajdel, postać bliżej nie znana, zatrudniony równocześnie jako kancelista w Dozorze Szkolnym. Jemu to wypadło przypisać autorstwo jedynego dokumentu, który po Instytucie Bibliopolicznym poza księgozbiorem pozostał, a mianowicie katalog w postaci księgi dużego formatu. Pierwszymi czytelnikami byli uczniowie i profesorowie szkoły, o czym świadczy cytowane już stwierdzenie Smolikowskiego o szybkim wzroście poziomu nauczania.

Instytut Bibliopoliczny samodzielnie istniał dwa lata. Chociaż założony przy nim księgarnia, mająca zagwarantować stały dopływ książek (bibliopola znaczy księgarz), podstawy materialne okazały się niewystarczające. Ale zaważyły i inne względy: Gdy wojska rosyjskie ciągnęły do oblężenia Zamościa, wkraczając miały do Lublina, osoby zarządzające byużym Instytutem Bibliopolicznym, upatrując dla nie-

go bezpiecznego miejsca, postarali się przenieść książki jego własnością będące do domu W. Umieńskiego do biblioteki szkolnej w miesiacu styczniu 1813 roku. Przenieszone je w takowym zamieszczeniu w oworkach i wysypano na podłogę bez żadnego porządku i nie żądano żadnego porządku (urywkowe tylko) katalogu ich ani też rewersu na wypożyczone nie było. Rektor zlecił je prof. Morykoniu w sali biblioteki szkolnej, w osobnych szafach ułożyć. Brak zainteresowania ze strony członków towarzystwa księgozbiorem podsunął Smolikowskiemu myśl zatrzymania na stałe przechowywanej biblioteki, następnie ubiegania się o przekazanie akcji na rzecz szkoły.

Wielką rolę w realizowaniu tej idei odegrał Morykoni. Wykorzystał w tym celu jedynie wówczas w Lublinie wydawnictwo periodyczne, przez siebie redagowane, „Popisy publiczne uczniów szkoły departamentowej (województwie) lubelskiej”. Do roku 1819 przekazano szkole 54 akcje. Jak popularna była idea biblioteki publicznej świadczy fakt, że osoby ofiarowujące swoje akcje stawiali warunek, by z biblioteki szkolnej Oświecena publiczność bezpłatnie korzystać mogła. Chętnie go przyjmowano, dzięki czemu, jak słusznie stwierdził Smolikowski: Instytut już umierający na nowo żyć zaczyna i zamierzy przy pierwszym zawiązaniu Instytutu zastrzeżone skutek swój biorą.

Ciągnące się latami przekazywanie akcji uniemożliwiło Morykoniu faktyczne scalenie księgozbioru.

Dopiero po jego wyjeździe do Siedleg, to jest w r. 1817, przysięgiono do prac inwentaryzacyjnych. Uważa się powszechnie, że jest to rok, który definitywnie zamyka odrębność i samodzielność Instytutu. Dopiero jednak w dwa lata później prof. Jan Kanty Krzyżanowski sporządził inwentarz ogólny.

Jak wynika z zachowanych dokumentów, do biblioteki szkolnej włączono wszystkie książki Instytutu. To jedno dziś wiadomo na pewno, że pierwsza biblioteka publiczna naszego miasta posiadała ponad 1394 woluminy, tyle się bowiem ostatecznie zachowało. Było w tym 287 dzieł polskich, 91 łacińskich, 395 francuskich, 422 niemieckie, reszta to dzieła zdefektowane, dublety, pisma ulotne. Najwięcej w zbiorze ośmiennastowiecznych starodruków. Najstarsza książka z roku 1586, najnowsza z 1811. W dziale polskim książki Kochanowskiego, Modrzewskiego, Orzechowskiego i autorów współczesnych, Niemcewicza, Piramowicza, Staszica, Śniadeckiego, Potockiego, Bandtkiego, Dmochowskiego, Kopczyńskiego, druki z oficyn krakowskich, warszawskich, wileńskich, lwowskich, a także lubelskich.

Nie potrzebuję dodawać, iż przez fakt, że tak poważna ilość i jakość partia książek została wcielona do biblioteki szkolnej, ta ostatnia wysunęła się na czoło wszystkich podobnych istniejących przy szkołach wojewódzkich. Jak wiadomo, po wielu perypetiach księgozbiór Szkoły Wojewódzkiej Lubelskiej został w końcu przekazany Wojewódzkiej i Miejskiej Bibliotece im. H. Łopacińskiego. Tym sposobem Instytut Bibliopoliczny można uznać za początek tej zasłużonej placówki.

M. Welna-Adrianek

Ryszard Podlewski

Notatki myśliwego

Jakich orderów jest więcej — za odważne ataki, czy rozważne odwroty?

Największą łapówką, jaką w życiu wręczał, była dłoń.

Jest różnica między talentem, który ktoś musiał odkryć, a takim, co wyłonił się sam.

Nie zawsze można zapłacić głową. Ta waluta także podlega dewaluacji.

Niektórzy tyranie nie zakazują gwizdów. Trudno bowiem odróżnić gwizd zachwyty od gwizdu protestu.

Mówią, że silnik tego twórcy ma moc 45 koni-aków mechanicznych.

Każdy może mieć jakieś cele na widoku, ale jakże często są to cele... więziennicze!

Niektóre problemy zataczają coraz szersze kręgi — na czołe.

W dyskusji poglądy winny się ścierać. Były tylko potem nie stały się zbyt wytarste.

Refleksje o wąsach i peruce

(Dokończenie ze str. 10)

na warsztat Gogola albo Fredrę poświęcał daną sztuką po prostu podobał mu się. A sztuka podoba się dlatego, że daje możliwość „prawdziwej” zabawy w teatr. A prawdziwy teatr kojarzy się z kostiumem, szminką i peruką. Teatr amatorski nie składa się z ludzi, którzy pracują dla Sztuki (może nie zawsze rozumieją to pojęcie), ale z natężonych kibiców; im postawa biernego obserwatora nie wystarcza. Przechybiają i bawią się, ale równocześnie bawią się z nim inni. Czy to jest teatr? Wśród węgroszności miłośników teatru zainteresowanie teatrem, wielkim repertuarem itp. budziło się na ogół na skutek obżerania kolegi w „Zemście” wystawianej we własnej szkole, a nie Leszczyńskiego na deskach Teatru Narodowego. Z tej prostej przyczyny, że do Warszawy trudno dojechać...

Jeszcze jedno: na przedstawieniu przykładowego „Ożenku” bawiliem się tekstem Gogola, chociaż nie mówił go Kurnakowicz. We współczesnych „Kamiennych ludziach” irytowała mnie nie tylko nieudolna gra amatorów, ale przede wszystkim słaba sztuka Głogosa. Ale Gogol jest nie do zniesienia, a Głogos nie do uratowania... Dlatego wole już, gdy amatorzy szargają świętości, bo wtedy coś jednak zostaje dla widza, niż gdy biorą się za mianote.

A po wtóre — na teatr amatorski należy spoglądać w proporcjach właściwych dla tego typu działalności.

Czy teatr amatorski powinien szukać nowych dróg? Powinien. Nieraz udaje mu się je znaleźć i wtedy... zaczyna się tragedia: nikt się do takiego zespołu nie chce przynależać...

Czy ktokolwiek zdolni jest dopomóc teatrowi amatorskiemu w „dopracowaniu się jakiegokolwiek własnego oblicza”? Jak dotąd nikt się nie zgłosił z prak-

nywanymi propozycjami... Niemniej jednak budujący jest fakt, że teatr amatorski w dzisiejszych czasach nie grywa sztuk w rodzaju „Panna rekrutem” albo „Jak żołnierz żupę z kółka ugował”.

Mirosław Derecki

»KAMENA«

Pismo lubelskiego oddziału Związku Literatów Polskich. Redaguje zespół: Konrad Bielski, Jerzy Dostatni (sekretarz redakcji), Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Zygmunta Mańkowski, Zygmunta Mikulski — członkowie Kolegium Redakcyjnego, oraz: Mirosław Derecki (redaktor techniczny), Ireneusz J. Kamiński (kierownik działu publicystyki) i Romuald Wiśniewski.

Informacji w sprawie prenumeraty udzielać placówki pocztowe i Ruch. Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty.

Wydawca: Lubelskie Wydawnictwo Prasowe RSW PRASA, Lublin, Aleje Racławskie 1. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, ul. Unicka 4.

Adres redakcji: Lublin, ul. Graniczna 7 tel. 234-49

Korespondencje prosimy kierować na adres Lublin 1 skrytka pocztowa 131

Zam. 725 28.II.68. C-4.

# MINUTA MYŚLENIA

## Pańskie hobby? Zabijać!

**W** „KULTURZE” (25.11.68) ni stąd, ni zowąd ukazał się artykuł Romana Bratnego o jego hobby. Artykuł nosi tytuł „Hobby wielkie jak lod” i komunikuje, że umiłowaniem Bratnego jest polowanie. Pisze „ni stąd, ni zowąd”, ponieważ zachodzi tu mogąca być dwiema rzeczami: 1) albo uważa się, że wszystko, co dotyczy Romana Bratnego, co ipso facto zasługuje na publikację; 2) albo zabijanie zwierząt uznaje się za okoliczność mającą bezpośredni związek z kulturą i stąd powinno znaleźć miejsce w czasopiśmie, które sprawom kultury i racji swojego

tytułu poświęca uwagę. Moim zdaniem żadna z tych dwóch ewentualności nie ma miejsca, stąd zdumienie zawarte w pierwszych słowach niniejszego felietonu.

Artykuł Bratnego został wydrukowany. Został wydrukowany, więc upoważnia do zajęcia stanowiska w sprawie przesyłanych poruszeń. A zatem — przypatrzmy się.

Bratny chce dać genezę swojej pasji myśliwskiej. Jest nią... zafascynowanie egzotyką zasmakowaną ogółem za pośrednictwem filmu „Trudnoru”. Zapytajmy, czy marzenie o Wielkiej Przygodzie może znaleźć swą realizację w postaci strzału do głuszcza, jeżeli przygoda ma być pod każdym względem wielką? Jeśli ma w swej parantezie znaleźć przesyła bohaterów Courada, Londena, czy choćby Maya? Osobliwa sofistika: kocham przysyła, jestem nie oświecony, wobec tego polegnę za spust po to, żeby to, co żywe i piękne, stało się — słowa zresztą Bratnego — kupą śniegów miesiwa. Powinnować nie tylko logiki!

Słowa o ryzyku? O walce? Smaku wystrzału? Krytycznych? Tak, tylko słowa. Bo jakże jest sytuacja krytyczna dla myśliwego, który ma strzelbę z łuszkami, a przeciw sobie jelenia odprawiającego go? Jakże niebezpieczeństwo? Możliwość odmrożenia uszu? Jest całe „mieskie” ryzyko, którego rekompensacją nie jest polowanie, tzn. ludzie nie utwierdzający swej „woły mocy” za pomocą wynalazku prochu i całego aparatu służby leśnej. Bratny na zakończenie

swego artykułu przytacza fragmencik ze swego opowiadania myśliwskiego. Oto wrazenie, jakie wywarł na niejednym czytelniku: tak kochał zabijanie, że nawet do pierci przysyła się o-bieki swego morderstwa.

Ze walka? Ze zwierzę ma też szansę? W postaci zmierzchnia oka myśliwego i piuce nie wystrzajmych długiego błęka? Zgoda. Można w takim razie mówić o szansie zwierząt w rzekni. W postaci ograniczonej ilości gozdzi pracy rzeźników. Przypomina się zdanie prof. Tadeusza Kotarbińskiego: „Do rodzaju ludzkiego chętnie salicze pa- Nie zaliczę natomiast rakarza”. I aforyzm Stanisława Jerzego Leca: „Gdyby zwierzę zabiło z premedytacją, byłoby to ludzki odruch”.

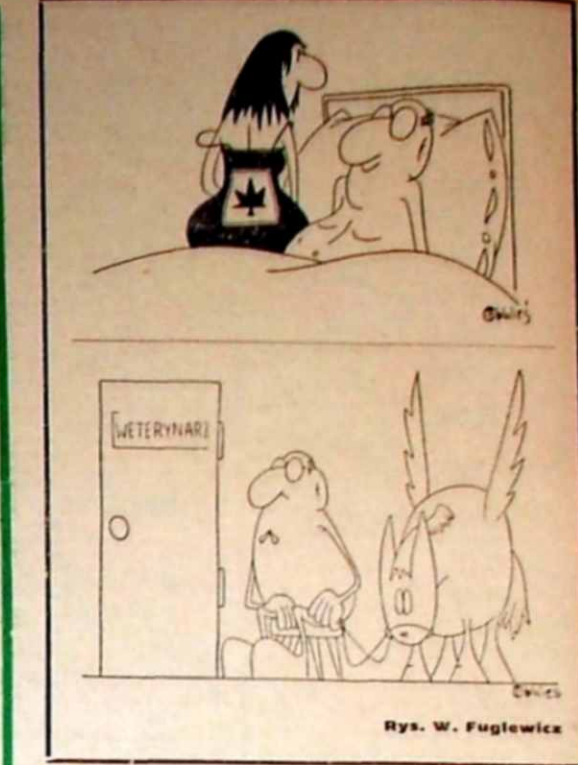
Owszem, myśliwi mają na swoje uszy i uszy, konieczność ekonomiczną. Prawda, że w wypadku pozostawienia absolutnej swobody dżikom zwierzętom nastąpiłby rychło „wyz geograficzny”. Ale podejmuje oni swe zająta nie dla służby na rzecz redakcji żywostrann w lasach, lecz po prostu dla przyjemności trafilania do żywego celu. Równa koniecznością jest przecież walka z chwastami, z erozją gleb. W tym względzie nie uświadczy ekip ochotników. Co innego „pifekip” — nie trzeba nawet wy-dawać odzew. Dziwne, że nie rozróżniają tych spraw nawet niektórzy pisarze. Malo; ulegając prostej, barbarzyńskiej skłonności starają się ją przedstawić w kategoriach intelektualnego i cywilizacyjnego wysublimowania.

I nie tylko wysublimowania. Oto co pisze Roman Bratny w wymienionym artykule: „Czy czasem na okazie, by zastąpić „zakodnika” za to, że purywa pasiergam owece? Opow! Tajny Jeleniom takie bajki!” Oto, co pisze Bohdan Czesko w książce „Makata z jeleniem”: „Urzekająca jest możliwość gwałtownej i ostatecznej ingerencji, a ów ciekły smak żalu, który następuje zwiastując sówczas. Jeśli nie było to zwierzę drapieżne, przecież tak nie jest do pogardzenia”. Brawo, przynajmniej wiemy, o co chodzi!

Fewien był mieszkaniem Kra-kowa nazwiskiem Kot miał ma-nie zabijania ludzi. Zabił coś z siedmiu. Miał do tego specjalną kolekcję noży. Wdrągamy się. Tenże sam osobnik zgłaszał się z amatorstwa do rzeźni celem zabijania cieląt. Cielęta i tak były przeznaczone na rzeź. Więc co? Będziemy chyba mówili o po-stannictwie? A już najmniej — o zrozumieniu idei czynów spo-łecznych.

Nie jestem święty Franciszek. Nie proponuję przemówień do ptaszków i rybek. Cośkolwiek wiem o koniecznościach. Rów-nież o konieczności zabijania. Ale żeby te czynności wynieść do wyżyn przyjemności, przedstawić ją w kategoriach estetycznego doznania, przynależało do tego...

Doprawdy, trudno być człowiekiem.



# BIG-BEAT

## Dobroduszny Żijan

**P**ANIE Redaktorze! Czytał Pan zapewne „Księżkę dzungli” Kiplinga i pamięta postać Mowgliego wychowanego przez mieszkańców indyjskiego lasu. Okazuje się, że życie bywa równie niecodzienne, zaskakujące nas niespodziankami i w drugiej połowie XX wieku.

Oto, jak doniosła samarakańska gazeta „Leninski Put”, w górach Karakulu mieszczą się w latach trzydziestych wiesz ubiecka — kizlak, w której zamieszkiwały tylko dwie rodziny. Jedna z rodzin — widocznie nie mogą się pogodzić z surowymi warunkami życia — przeniosła się w dolinę, druga pozostała na miejscu. Owa druga rodzina składała się z matki i dwuletniego synka.

Ojciec i matka zmarli niespodziewanie. Dziecko zginęło bez śladu. Stryj, Utamurad Satarow, wraz z grupą pasterzy rozpoczął gorączkowe poszukiwania. Przetrafił okoliczne krzewy i zarośla, spentrowano piecary. Nie przyniosło to żadnego rezultatu.

W trzy lata później hitlerowcy napadli na ZSRR, Satarowa po-

wolano do wojska, losom dziecka nikt się już nie interesował.

Wojna się skończyła, Satarow szczęśliwie z niej powrócił i ponownie zajął się pasterstwem. Biggly lata, podobne do siebie jak kropki wody. Nic nie mącho spokoju Uzbekom.

Aż nagle pojawił się dziwne wielki, ktoś dostrzegł w górach cudaczną postać, która na widok człowieka zaczęła gwałtownie uciekać wydając nieartykułowane dźwięki. Ktoś inny potwierdził ten fakt, usiłował nawet ścisnąć tajemnicze stworzenie, ale ono skryło się w pieczarze.

Na pewien czas sprawa ucichła, wypłynęła na nowo w 1951 r. dzięki dzieciom z kizlaku Ingiczi, które natknęły się na siedzibę „dzikiego”.

W pieczarze dokonano zasadzki. Satarow w towarzystwie trzech uzbrojonych pasterzy zaczął się w grotcie. Czekano kilka godzin. Pod wieczór w wejściu zjawiała się barycznata postać. Walka była zjadła, ostatecznie jednak udało się schwycić owo tajemnicze stworzenie odznaczające się nieprawdopodobną wprost siłą. Satarow nie miał najmniejszych wątpliwości: po rysach twarzy, po fizycznym podobieństwie rozpoznal swego bratanka zaginionego w 1937 roku!

Teraz rozpoczęła się kosałana praca mająca na celu przywrócenie Żijana (takie dano mu imię: Żijan po ubiecku oznacza „bratanek”) społeczeństwu ludzkiemu. Przez kizkańskie miasteczko nie można było nauczyć korzystania z łyżki, ba — nawet posługiwania się ręką. Żijan chleptał zupełnie prosto z naczynia i to „na czworakach”. Przez dłuższy czas nie chciał jeść gotowanego mięsa. Niechętnie spiał w izbie. Wykazywał niezwykłą wytrzymałość na temperaturę — upłył jak mrozy. Mógł spędzić noc zagrzebawszy się w śniegu.

Dziś, po 13 latach, Żijan ciągle nie mówi, ale rozumie wydawane mu polecenia. Przywiązał się do ludzi, wykazuje wiele dobroduszości. Kiedy ktoś go rozszedł, nigdy nie uderzył, chowa się w kacie, przykrywa głowę rękoma i natychmiast zasypia.

Ciągle bez odpowiedzi pozostaje pytanie: jak to się stało, że dwuletnie dziecko mogło bez żadnej opieki zachować się przy życiu? Zagadnieniem tym, jak i innymi związanymi z przeszłością Żijana, chcą się teraz zająć naukowcy Tadziocy, którzy niedawno dopiero dowiedzieli się o opisywanym fakcie.

Czyta to Pan, Panie Redaktorze, i myśli zapewne, do czego

Jacek zmierzają i po co zaprzata lwację czytelników jakimś Żijanem, podczas gdy tyle miejscowych tematów zasługuje na uwagę.

Odpowiem Panu: Żijan daleko, ciągle nie umie mówić, nie zalefionuje do Pana i nie zapyta jak... (nazwisko i adres znane redakcji); „Co to za duren, Jacek, pisuje felietony na ostatniej stronie?”

A ostatecznie historia Żijana jest ciekawsza od niektórych bohaterów „Prowincjałek prowincjusza” (vide: czwartki w br. numer „Kameny”).



Fot.: T. Radecki

# FELIETON Z REZERWY

## Pan szewc i obywatel kominarz

**P**LANIŚCI i statystycy podzielił to, co nazywamy usługami, na usługi przemysłowe i nieprzemysłowe, dla ludności i nie dla ludności oraz jeszcze jakieś inne. W podsumowaniu — ilościowym oraz złotówkowym — i planistom i statystykom wypadają liczby wciąż pokające. Szary obywatel nawet by się nie dziwił, że zwykłego szewca zamieniono na usługowego warsztat szewski. Ostatecznie nie wszędzie jeszcze dokonano takiej zmiany w nomenklaturze, bo np. nikt jeszcze nie słyszał o usługowym gabinecie lekarskim dr. X czy usługowej kancelarii adwokata Y. Nawet jeden szewc w Zakopanem zbuntował się przed laty i powiesił tablicę, która do dzisiaj intryguje turystów krajowych i zagranicznych: do

pana szewca. Niedemokratycznie, ale z fantazją.

Niestety, nie tylko fantazji, ale zbył często także zwykłej przyzwyczajoności i dobrej roboty zabrakło w owych punktach usługowych.

Przed kilku miesiącami zepsuł mi się kran w kuchni. Prosty kuchenny kran, od zimnej wody. Zadzwoeniłem do najbliższego instalacyjnego domu z prośbą o założenie nowego. Paniąka z miłym głosem, ale niemilym odcieniem tego głosu powiedziała autorytatywnie, że w magazynie z wykłych kranów nie ma i jeżeli sobie taki kran gdzieś kupię, to oni mogą założyć. Kupilem bez trudu, ale założyłem sam przy pomocy sąsiada.

W tym samym czasie pokazywano mi warsztat ślusarski Miejskiego Przedsiębiorstwa Usług. Chodziło o to, abym napisał, w jak ciężkich warunkach pracuje przedsiębiorstwo. Warunki istotnie były ciężkie. Ale gdy soytłem kolejne dwóch pracowników, co robią, odpowiedzieli: odgromniki. Okazało się, że na zamówienie jakiejś straży pożarnej wykonano coś koło tysiąca odgromników. Potem w dyrekcji przedsiębiorstwa długo mnie przekonywano, że to przecież czysto usługowe roboty, bo przecież odgromniki trafilają do właścicieli nolejcznych gospodarstw. Nie pomogło. Okazywało się, że w takim razie do usług należy zaliczyć także budownictwo mieszkaniowe. Fabryki samochodów osobowych czy nawet łobysk tocznych, nie mówiąc o mleczarniach czy weteraniach wódek — bo ostatecznie znaczna większość produkowanych lam wyrobów trafil do rąk czysto indywidualnych użytkowników. Okazało się, że twisze odgromników to usługi przemys-

lowe dla ludności, a tysiąc litrów wódki to przemysł, chociaż zapewne ci sami właściciele odgromników po ich założeniu wypili ów tysiąc litrów wódki na zdrowie tych, co zakładali odgromniki.

Znów wrócić do coraz bardziej zawile sformułowania przerwał mi dyskurs głuchego z ślepcym, ale wkrótce na własnej skórze miałem się przekonać, jaka jest różnica pomiędzy usługami przemysłowymi a nieprzemysłowymi. Po kilkunastu latach rda przetrwała mi żelazny bolier. Złosiłem się do tego samego Miejskiego Przedsiębiorstwa Usług. Powiedzieli, że jeżeli sam postaram się o bolier, to oni gotowi założyć. Ponieważ spółdzielnia kotłarsko-mechaniczna oraz metalowców w ogóle nie chciały ze mną rozmawiać, zacząłem biegać po mieście w poszukiwaniu boliera.

Po jakimś czasie znalazłem i znów zadzwoniłem do Miejskiego Przedsiębiorstwa Usług. A owszem, przestali dwóch miłośnych ludzi i nosili, ale ledwo zdążyłem zapłacić rachunek z jakiejś świeżo założonej rury zaczęli kasać. Dawałem im daremnie orzec dwa tygodnie, wreszcie dobraliśmy do zastępcy dyrektora do spraw technicznych. Ale nomenklatura rozmowa z szarym dyrektorem, który na szczęście przypominał sobie naszą rozmowę o odgromnikach i wreszcie przystał chłonnie. Też, że rura cały następny tydzień wleżała im eżenn brzoława. A mle woty — simnel i cieple.

A oto ostatnio i już najwęższej daty doświadczenie. Postanowiłem zainstalować sobie w domu gaz — w kuchni, łazience i do ogrzewania pieców kalfio-

wych. Zakłady Gazownicze nawet chętnie przyjęły robotę (do jakiego rodzaju usług ja zakwalifikował?), ale okazało się, że musi być orzeczenie spółdzielni kominarskiej, do którego kominarna można się przylączyć, a do którego nie wolno.

Nawet przysłał następnego dnia po złożeniu podania. Ale po kilku minutach stwierdził autorytatywnie, że gaz przyłączyć nie można, bo brak przewodów. I poszli. Wszedłem nie bez trudu na dach i stwierdziłem, że przewodów jest więcej niż pieców, to samo było uwidocznione na zatwierdzonej urzędowo dokumentacji domu. Wskutek interwencji przysłał ponownie i po dwóch minutach pokazał palcem na ścianie w łazience: tu może pan przyłączyć, a pieców w pokojach nie wolno. I poszli. Gdy przyszedł z gazowni i pokazałem palcem: tu — odpowiedzieli, że oni muszą mieć dokładnie napisane. I poszli.

Odwolałem się więc do prezesa spółdzielni, która w zakresie kominarskich usług (znów: jakich?) jest monopolista w województwie. Przejrzała specjalna komisja i stwierdziła, że mogę gaz podłączyć do wszystkich pieców po wypuszczeniu rury do innego przewodu, a w łazience nawet wybił otwór do przewodu od piecyka. Wszystko razem trwało półtora miesiąca. A gdybym nie był taki uparty i nie znalazł owej dawnej dokumentacji, to do końca życia musiałbym nosić węgiel z piwnicy i rąbać drzewo na podpałkę.

Jak z tych przykładałów widać, nie tylko na podziale usług rzecz się komplikuje.

### JOD

## Odpowiedzi redakcji

Mgr J. M. w Łodzi. Przesyła Pan kilka fraszek i pisze w liście do redakcji: „Proszę bardzo o odpowiedź, które z fraszek zostały zakwalifikowane, ponieważ pozostałe będą mogły zamieścić w wydaniu książkowym, nad którym obecnie pracuję”. Po lekturze Pana utworów dochodzimy do wniosku, że to nie praca, ale zwykłe bumełanie c i w. Cytujemy: „NA GINEKOLOGA — Chciał być zardroszka trawiony / Mógł tylko leczyć ludzkie żony. PRZYWIŁ LAT — W miarę przybywania latek / Garnie się stary do dzierżatek. PRZY STOLE — Kiedy siedzę przy dobrze zastawionym stole / Wszystkie siemskie sprawy chromole”. Niech Pan przynajmniej przestanie e h r o m o i i e czytelników, drogi Panie Magistrate!

M. B. w Lublinie. Pisze Pan zaskakując kilka wierszy: „czytam, napisałem i jeśli potrzeba — przestane pisać”. I my przeczytaliśmy, ale to na razie wszystko, co możemy uczynić. Jeśli Pan jednak zrezygnuje z pisania, nigdy nie będzie Pan mógł liczyć na druk swoich utworów. Inaczej mówiąc — nie rezygnować, choć ma Pan przed sobą drogę nie najłatwiejszą.

S. P. k. Lublina. Mogą się Panu nie podobać wiersze Edwarda Stachury, ceslonego poety i prozaka. Nam nie przeszkadza, że zaś utwór rek, który Pan nadesłał / pół litra parzył / tyle jakich i syfon wody sodowej / siedzka / mocno w głowie zamieszkał / rozbijał /

pokielbaści / dostał braka / kaza / a potem / według mody / ciurkiem / jak leci / w slupczkach / przelał na papier / w druku przy piśmie / i wiersz gotowy / dla znawców / dla krytyka / nie dla dzieci / bo dzieci / oglądają nie wolno / ot / cała muzyka” Nie podpisujemy tego „arcydzieła” Pana nazwiskiem, po co ma się Pan wstydić po latach...

„E. z Radomia”. Czy na co dzień okazuje Pan taką samą pruderację? Autor krytykowanego przez Pana opowiadania może mieć jednak satysfakcję, że zwrócił na jego pracę i nawet poświęcił jej „ludowy” wierszyk polemiczny. Widać jednak, że ów wierszyk pisał mieszczuch z gatunku takich, których zwlezał już sam Boy. Niestety, bezskutecznie!

J. B. w Lublinie. Szczerze radzimy: niech Pan przestanie pisać, bo najgorsza publicystyka jest lepsza od tego, co Pan nam zaprezentował w charakterze wiersza. „Ginie lud” to typowa grafomania. Szkodą pieniężną za znaczki pocztowe, szkoda papieru, szkoda atramentu!

J. M. w Chelmie. Dobrze, że nie czeka Pan na wydrukowanie swoich wierszy w „Kamenie”. To jeszcze surowiec, na jakakolwiek ocenę stanowczo za wcześnie. Niech się Pan jednak nie zalamuje i w przyszłych utworach — bezosobnie tepli te „samotne czary”, „historie na darmo pisane na błonach szwedzia”, „sime zaproszona gwiazdą” czy też „nie-sienie na błonach szwedzia”.

„Grę z Kracsonową”. Marek Ch. J. P. w Lublinie, S. B. w Lublinie, J. L. O. w Toruniu — nie skorzystamy.

MAJ

# NOTY i notki

**MGR W. B. SOLIDARYZUJE SIĘ ZE MNĄ** (patrz „Noty i notki” w 4 n-rze „Kameny”), że „druk tego samego artykułu w piśmie o zbliżonym profilu uważamy za poważne naruszenie etyki dziennikarskiej”. Mgr W. B. zwraca uwagę na innego rodzaju naruszenie dobrych obyczajów dziennikarskich. Informuje, że „w lutym numerze popularnego i sympatycznego magazynu geograficznego „Poznaj Świat” czytelnik może się natknąć aż na pięć artykułów napisanych przez jednego i tego samego autora”. „Myślę, że czytelnik za swoje pieniądze chce mieć czasopiśmie z uznanym autorem, nie uważam też, aby przypadek, o którym wspomina mgr W. B., był nagminny. Może w danym wypadku całą sprawę należy potraktować specyficznie? Redakcji łatwiej dać delegację (celem poznania świata) jednemu dziennikarzowi niż... pięciu, łatwiej i oszczędnie!”

**P. WITA JAROSZEWSKA** zwraca moją uwagę na recenzję pióra J. Zięby z książki W. Gralewskiego pt. „Gorzejca łądy”. Recenzja ukazała się w dodatku literackim „Standaru Ludu”, z dnia 15 lutego br. J. Zięba napisał takie zdanie: „Sprawę tę autor kwituje kilkoma zdaniem, przy okazji opowiadając o zupełnie innym, blahym obiektywnie zdarzeniu, związanym z odkryciem w jakiejś przegrodzie zajętej kwatery „pechowcy” japońskiej lalczki. Dżwime i prawie niezrozumiałe. Walka o Berlin i „pechowa japończyka”.

P. Jaroszevska nie usiłuje bynajmniej p. Ziębę wyjaśnić tych „dziwności”, pragnie mu jednak przy okazji zacytować wiersz K. Simonowa („w własnym, nieudolnym przekładzie”) pt. „Lalka”: „Wzięliśmy lalkę ze sztabowego auta / Ratując życie pod pretekstem wojny / Trzech oficerów — dzielnych chwiałów / Tam zostawio ją — bezbronna... / Za szyle przywiązano sznurkiem / Ucieka dawno — zrozpaczon! / I patrzy na strzaskane mury / Drząc z zimna w swym kimonie”.

Nie cytując wiersza dalej. Rzecz chyba w tym, że w czasie wojny zdarzały się nieraz historie „dziwne i prawie niezrozumiałe”.

**ŁÓDZKIE „ODGŁOSY”** zamieściły artykuł R. Gorzelskiego o poliglotach. Jeden z nich „czyta i mówi dwudziestoma pięcioma językami”. Gorzelski zapytał go: „Jak długo uczył się pan jednego języka?”. „Od dziesięciu dni do trzech miesięcy. Najwięcej czasu straciłem na angielski i francuski. Turckiego natomiast uczyłem się tylko dziesięć dni”.

Trudno uwierzyć, że są tacy, którzy języka polskiego nie mogą się nauczyć w ciągu półwiecza. Może dlatego, że urodzili się między Bugiem a Odrą?

**„ŻYCIE LITERACKIE”** zamieściło karykaturę Jacka Fedorowicza. (Autor: Andrzej Stopka). Dlaczego jednak popularny artysta teatru i filmu „stoi na głowie”? Zapewne w tej pozycji lepiej trenować małżonstwo głoskowe.

Z tego samego numeru „Życia Literackiego” fraszka, której autorem jest Zarko Petan: „Znam kraj, w którym dziennikarskie kaczki, są pod ochroną”. Osobiście znam nie tylko kraj, ale i miasto.

**„PROSTE-RESTANTE”** — taki błąd przepeściłimy w poprzednim n-rze „Kameny” (zw odpowiedzi redakcji). Niniejszym prostujemy: to było Krywe-Restante!

# POSTE-RESTANTE

Nazwa naszej rubryki Poste-Restante posiada znaczenie dosłowne: poczta zostająca, czyli te nadesłane do redakcji utwory, których — z prawdziwym żalem — nie mogliśmy zamieścić w numerze, ale które — z prawdziwą satysfakcją — wybraliśmy do publikacji w tej rubryce. Przypominamy, że w Poste-Restante honorarium nie płacimy.

Janusz Brewiński z Lublina nadesłał nam list, w którym czytamy: „Przepraszam bardzo, że napisałem aż taki wierszyk, ale nie mogłem się powstrzymać od krytyki. Mam wielkie pretensje do autorów wierszy, które zamieściliście w „Kamenie” z dnia 18 lutego (nr 4). Swoim wierszem chciałbym zdopingować wielu piszących wiersze do bardziej owocnej pracy, gdyż utwory, które ostatnio zamieściliście, nie mają żadnej wartości i, co gorsze, żadnego sensu.

Mam nadzieję, że po przeczytaniu mojego wiersza na łamach „Kameny” praca ich i wysiłki będą skierowane w tym kierunku twórczości”.

Oto utwór p. Janusza Brewińskiego pt.:

**„KOLEDZY — POECI”**

Takie wiersze piszą każdy człek potrafi, gdy się jego myśli zaprzęgnie do pracy. Lecz myśli nie grają tutaj wielkiej roli, gdy się takie dzieła tworzy. Pisać trzeba umieć, ale nie łać wody.

Takie kantowne wyszło teraz z mody. Krytykiem nie jestem w pełnym słowa tego znaczeniu, ale mimo tego chciałbym swym kolegom udzielić pewnej rady: aby moralność bajki częściej używali i ładniejsze wiersze pisali.

My również mamy nadzieję, że po przeczytaniu tego wiersza i tej ostrej krytyki uda się Panu zdopingować poetów do „bardziej owocnej pracy”.